

# Powiat



Nr 7-8 (149-150), Lipiec-Sierpień 2013  
Rok XIII \* ISSN 1730-7686

**SŁUPSKI**

Zarząd otrzymał absolutorium  
Powstanie plan transportowy  
ELEGANT MAN też obniża ceny  
Pod słupskim niebem  
Jak zmieniał się Słupsk?  
Góry porzucił dla chleba  
Magiczne miasto Lublin  
Chopin na Majorce  
Artysto, ach... gdzie Ty...  
**Wieś Tworząca**





# PREZYDENT RP W POWIECIE SŁUPSKIM

KLUKI/SWOŁOWO, LIPIEC 2013



## Drodzy Czytelnicy!

W najbliższym czasie radni powiatowi mają zdecydować czy powiat słupski będzie używał w celach promocyjnych i marketingowych nazwy „morski powiat słupski”. Niektóre powiaty w Pomorskiem dodają do nazwy wła-

snej - powiat morski lub przymorski. I z taką inicjatywą wyszło kilku radnych Rady Powiatu.

To, że powiat słupski przylega do strefy brzegowej Bałtyku nie ulega wątpliwości, tak samo, jak to, że przynajmniej trzy gminy korzystają bezpośrednio ze swego nadmorskiego położenia - miejska i wiejska Ustka oraz gmina Smołdzino. Duże korzyści turystyczne i gospodarcze czerpie miasto i gmina Ustka, choć dziś w znacznie mniejszym stopniu mają na to wpływ funkcja portowa i rybołówstwo. A szkoda!

Ochrona zasobów związana z przynależnością do Unii Europejskiej spowodowała znaczne ograniczenie liczby jednostek oraz zmniejszenie kwot połowowych. Ale powstała aukcja rybna, a rybacy byli zadowoleni z programów, w których mogli uczestniczyć. Ci, którzy nie chcieli dalej rybaczyć otrzymali spore rekompensaty. Z dużych usteckich przetwórci - Korab jeszcze jakoś istnieje, Łosoś przeniósł się do Słupskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej. Zostały mniejsze przetwórcie. Większe funkcjonują dalej od morza, w tym ta najbardziej dzisiaj znana - Morpol z Duninowa.

Przynależność morska oznacza dzisiaj głównie korzystanie z turystycznych możliwości i uroków morza. Nie wymaga, przynajmniej jak dotąd, angażowania dużych środków, a przynosi mieszkańcom niemałe korzyści. Zatem jeżeli dopisanie do nazwy własnej powiatu - morski powiat miałooby w tym jeszcze pomóc, to dlaczego nie skorzystać z tej szansy?

Przynależność morska, uczył tego już w czasach przedwojennych wicepremier i minister rządu Eugeniusz Kwiatkowski - twórca Gdyni, oznacza jednak coś więcej niż tylko korzystanie z uroków plaży, kąpieli i uzdrowiska. Stwarza ogromne możliwości do rozwoju gospodarki, rozwoju portu i korzystania z dobrodziejstw morza pełnymi garściami. Przymorskie położenie daje ogromne możliwości także w dobie współczesnych przemian i wyzwań.

Ja ciągle wierzę, że takie zbliżenie się do morza i wykorzystanie jego ogromnego potencjału, jeszcze kiedyś nastąpi.

**Sławomir Ziemianowicz**  
**Starosta Słupski**

### „POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje: **Zbigniew Babiarz-Zych**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 841 85 53, faks 59 842 71 11; e-mail: [zych@powiat.slupsk.pl](mailto:zych@powiat.slupsk.pl); Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk**. Druk: **PASAŻ** Sp. z o.o., ul. Rydlówka 24, 30-363 Kraków. Na okładkach: Prezydent RP Bronisław Komorowski podczas wizyty w Muzeum Kultury Ludowej Pomorza w Swołowie; na Jarmarku Gryfitów w Słupsku.

*Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: [www.powiat.slupsk.pl](http://www.powiat.slupsk.pl)*

## W numerze:

- Już mama opowiadała o Klukach ..... 4
- Zarząd otrzymał absolutorium ..... 4
- Powstanie plan transportowy ..... 6
- Starostowie w Mölln ..... 6
- Będą patrolować ..... 7
- Zmieniła szkołę ..... 8
- Poznali Warszawę ..... 9
- Niebo w ogniach ..... 9
- Oddaje serce biegaczom ..... 10
- Sowa na weselu ..... 10
- ELEGANT MAN też obniża ceny ..... 11
- Pod słupskim niebem ..... 13
- Arabeski ..... 14
- Promocja nie tylko dobrej żywności ..... 17
- Cichy zabójca ..... 18
- Hufce potrzebne młodzieży ..... 19
- Jak zmieniał się Słupsk? ..... 20
- Są sukcesy naszej „pracy u podstaw” ... 23
- Góry porzucił dla chleba ..... 24
- Wyróżniona ..... 27
- Magiczne miasto Lublin ..... 28
- Chopin na Majorce ..... 30
- Artysto, ach... gdzie Ty... ..... 31
- Ta wystawa przerasta naszą wyobraźnię ... 34
- Czy koń by się uśmieł? ..... 36
- Morskie starcie gigantów ..... 38
- „Galeria” Kazimierza Nowosielskiego ... 40
- Turystyczne ostatki ..... 41
- Przyszywana siostrzyca „Gustloff” ..... 41

# Już mama opowiada

16 lipca br. powiat słupski odwiedził z mamą Jadwigą prezydent Rzeczypospolitej Polskiej - Bronisław Komorowski



Wizyta głowy państwa rozpoczęła się rano spotkaniem z przedstawicielami muzeów i instytucji pielęgnujących kulturę i tradycję kaszubską oraz przedstawicielami władz samorządowych, w Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach. W swoim przemówieniu prezydent mówił o świadomym dążeniu do utrwalania pamięci o Słowińcach, o wspomnieniach z dzieciństwa, gdy mama opowiadała mu o pobycie na Pomorzu Zachodnim. Wręczył odznaczenia państwowe. Henryk Soja, kierownik muzeum otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, a Teresa Dwulit - wieloletnia pracownica Medal Złoty za Długoletnią Służbę.

Fot. J. Maziejuk

## Zarząd otrzymał absolutorium

Ostatnią przed wakacjami sesję Rady Powiatu Słupskiego zdominowała dyskusja na temat sprawozdania finansowego oraz sprawozdania z wykonania budżetu za rok ubiegły i uchwala o udzieleniu absolutorium Zarządowi Powiatu



Fot. J. Maziejuk

Za udzieleniem Zarządowi absolutorium głosowało szesnastu radnych, tylko jeden

był przeciwny, a dwóch się wstrzymało od głosu. To bardzo dobry wynik!

# ta o Klukach



Fot. J. Maziejuk

Wzruszające było przekazanie przez Jadwigę Komorowską, mamę prezydenta pracy magisterskiej, napisanej w 1949 roku do zbiorów Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach. Jej autorka wspominała pobyt w Klukach, w czasach kiedy była jeszcze studentką socjologii na Uniwersytecie Poznańskim. Owocem fascynacji Klukami stała się praca zatytułowana „Antagonizm między autochtonami i osadnikami zza Bugu, we wsi Kluki na Pomorzu Zachodnim. Opracowanie materiałów z badań terenowych przeprowadzonych w lipcu 1948 roku”.

Prezydent z mamą zwiedzili skansen w towarzystwie marszałka województwa pomorskiego - Mieczysława Struka, sena-

Fot. J. Maziejuk

tora RP - Kazimierza Kleiny, starosty słupskiego - Sławomira Ziemianowicza, wójt gminy Smołdzino - Lidii Orłowskiej-Getler oraz Henryka Soji. Spróbowali chleba słowińskiego, aby później, po dyskusji z muzealnikami, udać się na „ruchome wydmy” w Słowińskim Parku Narodowym.

Po południu Bronisław Komorowski spotkał się z mieszkańcami i turystami spacerującymi po usteckiej promenadzie. Chętnie pozował do zdjęć i życzył wszystkim udanych wakacji. Z Ustki udał się do Muzeum Kultury Ludowej Pomorza w Swołowie na spotkanie z samorządowcami. Prezydenta z mamą powitała tutaj wójt gminy Słupsk - Barbara Dykier, prawie



Fot. J. Maziejuk

cała Rada Sołecka i gromadka dzieci z buketami polnych kwiatów. Prezydent zwiedził Zagrodę Albrechta, obejrzał występ

kapeli „Niwa Modrego Lnu”, skosztował smakołyków przygotowanych przez koła gospodyń wiejskich, gospodę „Pod Wesołym Pomorzaninem” i przyjął upominki od włodarzy wszystkich samorządów.

**Daria Wojtas**  
**Kierownik**  
**Oddziału Promocji**  
**i Współpracy**  
**w Starostwie**  
**Powiatowym**  
**w Słupsku**

Na czerwcowej XXV sesji Rada Powiatu Słupskiego podjęła w sumie dziewiętnaście uchwał. Wcześniej jednak sprawozdanie z prac Zarządu złożył starosta Sławomir Ziemianowicz, omawiając kolejno przygotowane w tym

czasie projekty uchwał Zarządu i Rady. Na siedmiu posiedzeniach Zarząd podjął ich dziewiętnaście, dotyczyły różnych spraw, szczególnie informowaliśmy o nich w poprzednim wydaniu „PS”. Starosta pochwalił się radnym nagrodami, jakie powiat słupski uzyskał za dobrą działalność w 2012 roku. Zdobył I miejsce w Rankingu Powiatów i Gmin oraz III miejsce w Rankingu Energii Odnawialnej - oba prowadzone są przez Związek Powiatów

Polskich. Obie nagrody - dyplomy i okazałe puchary starostowie odebrali na czerwcowej uroczystej gali zorganizowanej w

Świdnicy, w czasie trwania IV Kongresu Regionów.

W interpelacjach radni podnosili przede wszystkim nadal kwestię stanu nawierzchni dróg już nie tylko powiatowych, ale również wojewódzkich, sprawy związane z ochroną zdrowia, a głównie z dostępnością do świadczeń medycznych, pogorszoną - jak mówiono - niezawarciem przez Narodowy Fundusz Zdrowia kontraktów z niektórymi słupskimi placówkami służby zdrowia, w tym Wojewódzkim Szpitalem Specjalistycznym. Kwestie te szczegółowo wyjaśniał przewodniczący Rady Powiatu Ryszard Stus, jednocześnie dyrektor słupskiego szpitala. Radni uznali jednak, iż należy wystosować specjalny apel do NFZ, Marszałka Województwa Pomorskiego i innych instytucji w sprawie niezadowolenia z zastosowanych przez NFZ rozwiązań i sytuacji w dostępności do usług medycznych. Zwłaszcza podniesiono kwestię dostępności do świadczeń w zakresie medycyny sportowej. Po rozstrzygnięciach konkursów przez NFZ ten rodzaj świadczeń można uzyskać najbliżej w Wejherowie.

Radni podjęli m.in. uchwały w sprawie rozpatrzenia i zatwierdzenia sprawozdania z wykonania budżetu powiatu słupskiego za 2012 rok, zatwierdzenia bilansu Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie, udzielenia pomocy finansowej gminie Bytów na wdrożenie Lokalnej strategii rozwoju dorzecza Słupi w latach 2009-2015, podpisania umowy o współpracy partnerskiej z miastem Niemenczyn na Litwie. Kontakty z władzami tego miasta trwają już od kilku lat, teraz będą mogły być sfinalizowane konkretną umową o współpracy.

Ważną podjętą uchwałą była też m.in. uchwała w sprawie wyrażenia woli przystąpienia powiatu słupskiego do wspólnej realizacji projektu pn. „Diagnoza - strategia - inwestycja - rozwój miejskiego obszaru funkcjonalnego miasta Słupska”, planowanego do realizacji w ramach Programu Operacyjnego Pomoc Techniczna na lata 2007-2013, a także uchwała o przyjęciu do realizacji Strategii rozwiązywania problemów społecznych dla powiatu słupskiego na lata 2013-2020 i emisji przez powiat obligacji, zasadach ich zbywania, nabywania i wykupu. (Z)



# Powstanie plan tra

*Przygotowanie planu transportowego, działania w ramach regionalnych programów strategicznych oraz kontynuacja programu „Zdolni z Pomorza” to najważniejsze tematy poruszone na czerwcowym Konwencie Samorządowców Powiatu Słupskiego*

obradowali samorządowcy powiatu słupskiego

Konwent odbył się w pałacu „Dolina Marzeń” w Dobrej, w gminie Dębica Kaszubska. Gości przywitał starosta słupski Sławomir Ziemianowicz, następnie głos zabrał wójt gminy - Eugeniusz Dańczak. Pochwalił się m.in. dużą skutecznością w pozyskiwaniu zewnętrznych środków finansowych i umiejętnym ich wykorzystywaniem. Jako przykład podał właśnie odnowiony XIX-wieczny pałac w Dobrej, położony w urokliwym miejscu, pośród lasów i jezior.

Obrady prowadził starosta, a udział w nich, poza samorządowcami z gmin, wzięli m.in.: senator RP Kazimierz Kleina, wicestarosta Andrzej Bury i przewodniczący Rady Powiatu Słupskiego - Ryszard Stus. Rozpoczęły się one dyskusją na temat potrzeby opracowania planu transportowego dla powiatu słupskiego. Dyskusję zainicjowała naczelnik Wydziału Komunikacji i Drogownictwa - Elżbieta Matuszewska. Poinformowała o kosztach planu, bo wykonać go powinna na zlecenie wyspecjalizowana firma. Starosta zaznaczył, że w opracowanie włączyć się muszą samorządy zarówno z powiatu, jak i te, których sieci komunikacyjne obejmują powiat słupski.

- Najważniejsze by powstał dokument praktyczny, który pomoże sprawnie zorganizować transport w powiecie - mówił

starosta S. Ziemianowicz. Poprosił by gminy wyznaczyły osoby odpowiedzialne za przygotowanie wspólnie z powiatem takiego planu i by obejmował on wszystkie ważne dla samorządów aspekty.

- Transport publiczny, pozamiejski odgrywa ważną rolę, ale warunkiem jest dobra organizacja - podkreślił senator RP Kazimierz Kleina.

Urszula Falba, naczelnik Wydziału Rozwoju Powiatu i Inwestycji podsumowała prace zespołów roboczych w ramach regionalnych programów strategicznych. Opracowywany program jest jednym z sześciu dokumentów, jakie muszą powstać, żeby realizować Strategię rozwoju województwa pomorskiego do 2020 roku. W subregionie słupskim utworzono cztery zespoły robocze do prac nad przygotowaniem regionalnych programów: rozwoju gospodarczego, atrakcyjności turystycznej i gospodarczej, aktywności zawodowej i społecznej, ochrony zdrowia, transportu oraz energetyki i środowiska. Podczas posiedzeń tych zespołów zatwierdzano poszczególne etapy prac i kierunki działań.

- Ósmego kwietnia rozpoczął się proces konsultacji społecznych sześciu projektów regionalnych programów strategicznych, który trwał do 7 czerwca. Odbyły się również dwie konferencje konsultacyjne - w Słupskim Inkubatorze Technologicznym

Fot. D. Wojtas

## Starostowie w Mölln

*Starostowie Sławomir Ziemianowicz i Andrzej Bury przebywali w partnerskim powiecie Herzogtum Lauenburg*

Fot. powiat Herzogtum Lauenburg



Do wizyty doszło w dniach 30 czerwca - 2 lipca. Starostowie pojechali do Mölln na VIP-Tag (Dzień VIP-a), na który zaprosił ich starosta Gerd Krämer. Taki dzień odbywa się w ramach realizowanego projektu „Zabawa w miasto - dzieci budują swój własny świat”. Impreza ta organizowana jest od 1999 roku co dwa lata przemennie - raz w Niemczech, raz w Polsce. W tegorocznej udział też wzięły dzieci z powiatu słupskiego. W czasie dziesięciodniowego pobytu poznawały zasady funkcjonowania miasta, demokracji i różne zawody.

Słupscy starostowie spotkali się z dziećmi i ich opiekunami, a także z Gerdem Krämerem i Meinhardem Füllnerem - przewodniczącym Rady Powiatu Herzogtum



Lauenburg. Omawiano efekty dotychczasowej współpracy i planowane działania w przyszłości. Wskazano na potrzebę poszerzenia wymiany młodzieży. Pierwsze kroki podjęto już podczas kwietniowej giełdy partnerów pn. „Spójrz w przyszłość”, połączonej z warsztatami dla koordynatorów pozaszkolnej pracy z młodzieżą. (A.K.)

# Transportowy

lub koszt udziału w programie wszystkich uczniów z gimnazjów pokrywa gmina, a uczniów szkół ponadgimnazjalnych - powiat, gminy opowiedziały się za pierwszym rozwiązaniem.

Agnieszka Duda z Pomorskiej Agencji Rozwoju Regionalnego omówiła projekt wsparcia ekonomii społecznej. Ma powstać jedna spółdzielnia socjalnych. Realizowany w partnerstwie ze Starostwem Powiatowym projekt umożliwi udzielenie pomocy ludziom poszukującym sposobu na życie i zarabianie pieniędzy. A. Duda zaprosiła do udziału w spotkaniach, na których omawiane będą zasady współpracy i dofinansowania spółdzielni.

Ks. dr Jan Kaczkowski - prezes Puckiego Hospicjum pw. św. Ojca Pio poinformował o obecnej działalności hospicjum i projekcie stworzenia Domowego Hospicjum Dzie-

cięcego. Jego działalność miałaby obejmować również miejscowości powiatu słupskiego. Dariusz Wiślański z firmy Roche Polska Sp. z o.o. namawiał do prowadzenia badań profilaktycznych w kierunku zakażenia wątroby wirusem HCV. Przedstawił cele, zarys koncepcji i przykładowy podział kosztów związanych z realizacją takich badań.

Łucja Ptaszyńska z firmy EUROECO-EXPERT zachęcała do organizacji w gminach szkoleń na temat energooszczędnego budownictwa.

**Daria Wojtas**

**Kierownik Oddziału Promocji i Współpracy w Starostwie Powiatowym w Słupsku**

oraz na Zamku w Bytowie - mówiła U. Falba. - Przewodniczący zespołów prezentowali potem uzgodnione stanowiska podczas spotkań w Pomorskim Urzędzie Marszałkowskim w Gdańsku.

Do kontynuacji projektu „Zdolni z Pomorza” zachęcał naczelnik Wydziału Polityki Społecznej Zbigniew Babiarz-Zych. Projekt realizowany przez Departament Edukacji i Sportu Urzędu Marszałkowskiego w Gdańsku kończy się 31 sierpnia br. Zgodnie z podpisanymi porozumieniami powiaty powinny kontynuować projekt również po zaprzestaniu jego finansowania ze środków Unii Europejskiej.

- Proponujemy, żeby projekt „Zdolni z Pomorza” kontynuować w powiecie słupskim poprzez utrzymanie Lokalnego Centrum Nauczania Kreatywnego i prowadzenie zajęć pozalekcyjnych oraz przyznawanie stypendiów - mówił Z. Babiarz-Zych. - Obecnie w projekcie uczestniczy 39 uczniów (20 z gimnazjów i 19 z powiatowych szkół ponadgimnazjalnych).

Starosta S. Ziemanowicz zaproponował, żeby udział w projekcie był formą wyróżnienia dla najlepszych uczniów. Z dwóch możliwości finansowania: połowę kosztów pokrywa gmina, połowę powiat

**19** lipca policjanci przed Komendą Miejską w Słupsku obchodzili swoje doroczne święto, które przypada 24 lipca. Odbył się piknik, na którym prezentowali codzienne obowiązki i sprzęt jakim posługują się w pracy. Pobierali odciski palców, znakowali rowery.

Starosta Sławomir Ziemanowicz i wicestarosta Andrzej Bury przekazali im kluczyki do dwóch nowych quadów. Mimo że można było oglądać też policyjne motocykle, radiowozy drogówki i prewencji, to quady cieszyły się większym zainteresowaniem uczestników pikniku. Zakupiono je, by umożliwić policjantom patrolowanie trudno dostępnych terenów w gminie i mieście Ustka. (D.W.)

## POLICJA

# Będą patrolować

*Dwa nowe quady otrzymała Komenda Miejska Policji w Słupsku*



Fot. J. Maziejuk

**M**arianna Matias odchodzi na zasłużoną emeryturę. Na uroczystość zakończenia roku szkolnego przybyło wielu gości. Obecny był starosta Sławomir Ziemianowicz i pracownicy Wydziału Polityki Społecznej starostwa. Przyjechali dyrektorzy placówek oświatowych podległych starostwu, dyrektorzy szkół słupskich, przedstawiciele Kuratorium Oświaty, związków zawodowych.

Starosta podkreślił, że w czasie dwunastoletniej kadencji dyrektor Marianna Matias zmieniła szkołę. Udało się jej skutecznie połączyć tradycje z nowoczesnością, tak by słupski „Rolniczak” mógł wysforować się na jedną z największych szkół ponadgimnazjalnych w mieście. Uwzględniła zapotrzebowanie rynku pracy, poszerzyła swoją ofertę o nowe kierunki nauki. Zdobyte fundusze zewnętrzne pozwoliły doposażyć szkolne gabinety, pracownie komputerowe, zadbać o elewację budynków, które dziś zdecydowanie wyróżniają się na tle innych i świetnie komponują z okoliczną roślinnością. Zespół Szkół Agrotechnicznych stanowi zadbaną enklawę w jednym z najbardziej ruchliwych punktów Słupska.

Na twarzy pani dyrektor pojawiły się łzy wzruszenia, gdy żegnała się z uczniami, nauczycielami i rodzicami. Uroczystość była niezwykła, bowiem honorowano na niej też uczniów kończących rok szkolny ze świadectwami z czerwonym paskiem, finalistów olimpiad, którzy uzyskali indeksy na wyższe uczelnie.

- Nostalgia to słowo, które nie odzwierciedla wyłącznie tęsknoty za ojczyzną. Wyraz ten przywołuje wspomnienia najmilsze, a te są drogowskazami pamięci - mówiła Marianna Matias.

- Wiadomo, że emerytura wśród aktywnych zawodowo nauczycieli budzi lęk i na co dzień staramy się o niej nie myśleć. Tymczasem, każdy z nas, wcześniej czy później zostanie emerytem. Nie da się przed tym uciec, ani cokolwiek w tej kwestii zmienić, na nic zdadzą się negocjacje nawet z samym Ministrem Edukacji - powiedziała z kolei wicedyrektor Iwona Wojtkiewicz.

*Marianna Matias, wieloletnia dyrektor Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku pożegnała się z nauczycielami, uczniami i ich rodzicami*

# Zmienita szkołę



Przesłanie „semper paratus” (zawsze gotowy) stanowiło pretekst dla Gabrieli Bereżeckiej - prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego do zachęcenia M. Matias do wstąpienia do prężnie działającego Klubu Emerytów w związku.

„Przyjmij pogodnie to, co lata niosą. Bez gorzkości wyrzekając się przyszłości” - takie było z kolei motto

programu artystycznego przygotowanego specjalnie na pożegnanie pani dyrektor. Wzruszały prezentacje multimedialne, życzenia i podziękowania, wiersze mówiące o przemijaniu. „Zamiast lękać się emerytury, powinniśmy zdać sobie sprawę z tego, jakie widoki ze sobą ona niesie” - z pasją wydekłamaowała Elżbieta Ragan prezentując „Pamiętnik Marianny M.” (ZSA)



**W**yieczkę zafundował młodzieży Zarząd Powiatu Słupskiego. Poznawanie Warszawy „zdolni” rozpoczęli od wizyty na Powązkach, gdzie poznali miejsca ostatniego spoczynku wielkich Polaków, polityków, aktorów, sportowców. Spore emocje wzbudził pomnik upamiętniający katastrofę w Smoleńsku oraz groby ofiar.

Po starówce oprowadzał uczestników wycieczki rdzenny warszawiak i ciekawie opowiadał o zabytkach. Młodzież zobaczyła Zamek Królewski, Kolumnę Zygmunta, przeszła do katedry św. Jana Chrzciciela, pomnika Syrenki i pomnika Małego Powstańca. Spacerowała po ogrodach na dachu Biblioteki Uniwersyteckiej. Z mostków i tarasu widokowego podziwiała panoramę Warszawy, Most Świętokrzyski i Wisłę. Mogła też przez specjalne okna lub szklany dach zajrzeć z góry do wnętrza Biblioteki.

Głównym celem wycieczki było jednak odwiedzenie Centrum Nauki Kopernik. Jest to szczególne miejsce, w którym można zobaczyć jak powstaje tornado, unieść się na latającym dywanie i zagrać na laserowej harfie. Na zwiedzających czekają tu setki eksponatów gotowych do samodzielnego eksperymentowania. Kto tu był wie, że w tym nowoczesnym, interaktywnym muzeum, każdy może poczuć się jak odkrywca.

Wejście na Stadion Narodowy unie możliwił sam... Paul McCartney, którego koncert miał się tu odbyć wieczorem i z tego powodu stadion był zamknięty. W za-

# Poznali Warszawę

*Uczestnicy projektu „Zdolni z Pomorza” - szczególnie uzdolnieni uczniowie z matematyki, fizyki i informatyki byli na wycieczce w Centrum Nauki Kopernik w Warszawie*



Fot. E. Walitów

mian młodzież pojechała do Muzeum Sportu i Turystyki. Była jeszcze przy Grobie Nieznanego Żołnierza, wjechała windą na trzydzieste piętro Pałacu Kultury i Nauki, a na koniec - poznała Centrum Handlowe „Złote Tarasy”.

Na wyjazd ten zasłużyła sobie doświadczeniem w nauce i tym, że poszerza swoją wiedzę z przedmiotów ścisłych. **(E.W.)**

# Niebo w ogniach

*Tłumy ciekawskich podziwiały przez dwie noce mistrzowskie pokazy pirotechniczne na Lech Fire Festiwal w Ustce*

Festiwal odbył się 5 i 6 lipca przy dobrej pogodzie; widoki były zatem imponujące. Pierwszego dnia można było zachwycić się niezwykle barwnym widowiskiem, jakie zaprezentowały dwie firmy - Click oraz Grom & Zbig. Spore wrażenie robiły różnego rodzaju, kształtu i wielkości fajerwerki, którym towarzyszyła dobrana muzyka.

Drugiego dnia zaprezentowały się - Triplex i Nakaja Art. i też pokazały prawdziwy kunszt pirotechniczny.

Na nocnym niebie pojawiły się barwne kompozycje w kształcie chryzantem i palm.

Wszystkie pokazy były na wysokim poziomie, ale zwyciężyła firma Triplex.

Oprócz pokazów pirotechnicznych, organizatorzy przygotowali też ciekawe koncerty. Pierwszego dnia na nadmorskiej scenie prezentował się zespół Parafraza, rozgrzewając publiczność przed występem Sidneya Polaka - gwiazdy wieczoru. Następnego dnia wystąpiła Patrycja Ba-



Fot. Archiwum organizatora



Fot. Archiwum organizatora

czyńska - finalistka programu „Must Be The Music” oraz zaprezentował się zespół Raz Dwa Trzy. **(T.C.)**

pokazy

# Oddaje serce biegaczom

Zawodnicy z Białorusi i Ukrainy byli najszybsi w Biegu im. Elżbiety Garduły, rozegranym nad jeziorem w Korzybiu

Bieg zorganizowano po raz dwudziesty i odbył się 29 czerwca. Na starcie stanęło 227 zawodników, którzy mieli do pokonania 10 kilometrów i 500 metrów. W najlepszej dyspozycji byli dwaj biegacze zza wschodniej granicy i stoczyli niezwykle emocjonującą rywalizację do samej mety. Jako pierwszy zameldował się na niej Artur Asiulak z czasem 34 minuty i 46 sekund. Drugi był 35-letni Ukrainiec Olesij Gonczar (34 minuty i 47 sekund). Najszybszym Polakiem okazał się Paweł Piotraschke z Lęborskiego Klubu Biegacza Braci Petk. Trasę biegu przebiegł w czasie 35 minut i 27 sekund.

Wśród kobiet triumfowała Oksana Melcaeva z Ukrainy (40.40 min.). Druga była Antonina Rychter z MKL Szczecinek (40.55 min), a trzecia - Aleksandra Pochranowicz z Białego Boru (41.42 min). Zwycięzcy otrzymali puchary i nagrody pieniężne.

Przed biegiem głównym odbył się bieg dla samorządowców i gości na dystansie 1000 metrów. Wystartowało 10 osób, wśród nich m.in. olimpijczyk Jan Huruk. Cała dziesiątka przybiegła na metę trzymając się za ręce.



Fot. A. Szulist

Klasyfikację drużynową wygrał Lęborski Klub Biegacza Braci Petk. Na drugim miejscu uplasował się Klub Biegacza Goch Bytów. Na trzecim - Korzybskie Rekiny. Najlepszym biegaczem z gminy Kępice okazał się Karol Waszak - w nagrodę otrzymał rower.

Bieg od początku organizuje mieszkaniec Korzybia Zenon Słomski. - Cieszę się, że nasza impreza wciąż cieszy się popularnością, świadczy o tym rosnąca liczba uczestników biegu - powiedział na zakończenie. - Dzisiaj sport uprawia coraz mniej

osób, dlatego tak ważne jest promowanie naszego biegu.

Za swoje zaangażowanie otrzymał od biegacza z Warszawy Czesława Nowakowskiego okazały puchar.

- Zenek oddaje swoje serce biegaczom, trzeba to cenić, bo takich fanatyków jest coraz mniej - mówił przybyły z Warszawy.

Po biegu głównym rywalizowała jeszcze młodzież w dwóch grupach wiekowych.

**Aleksandra Chrystyniuk, Kępice**

## Sowa na weselu



Fot. J. Maziejuk

W Rowach Pan Pasikonik poślubił Panią Paiskonikową i zaprosił na wesele inne pluszaki

Ogólnopolski Zjazd Maskotek jest jedną z ciekawszych imprez letnich w regionie, organizowaną w Rowach głównie z myślą o najmłodszych turystach. Tegoroczny, już siódmy odbył się w dniach 20-21 lipca i był szczególnie wyjątkowy. Pasikonik gospodarzy wziął ślub z panią Pasikonikową, a jednym z zaproszonych gości na we-

sele była powiatowa Sowa oraz Gryfinek z partnerskiego powiatu bełchatowskiego. W piątek, późnym popołudniem odbył się wieczór panieński i kawalerski. W sobotę wszystkie pluszaki (zjechało ich do Rowów wiele) udały się do ślupskiego szpitala na spotkanie z dziećmi. Maskotki rozdawały małym pacjentom kolorowe gadżety i balony, a także chętnie pozowały do zdjęć. W tym czasie w Rowach, w Muszli Koncertowej powstawało miasteczko namiotowe. Turyści mogli uzyskać informacje o atrakcjach w regionie ślupskim i powiatach partnerskich - bełchatowskim oraz cieszyńskim. Dzieci najbardziej cieszyły się z balonów, słodczy i gadżetów promocyjnych.

Po paradzie, na ulicach Rowów wszystkie maskotki zaprezentowały się na scenie i zachęcały uczestników do wzięcia udziału w plebiscycie, którego zwycięzcą okazał się Lew Olimpek z Wejherowa. Na koniec rozdzielono tort weselny, a całemu wydarzeniu towarzyszyły jeszcze liczne występy artystyczne zespołów dziecięcych. (D.W.)

**W**ypatrujemy wtedy charakterystycznych, zazwyczaj wielkich czerwonych napisów: FOR SALE 25 %, 50 %, 70 % lub WYPRZEDAŻ. Niewiele z nas zastanawia się wówczas - czy wyprzedaże i obniżki cen towarów i usług w określonych okresach są zyskiem dla producentów, czy stratą? Bo dla nas, klientów, jest to okazja do korzystnych zakupów.

W okresie wakacji spora grupa Polaków, jak co roku, ruszyła na letni wypoczynek w różne strony kraju i za granicę. Jedni wolą spędzać czas na łonie natury, inni poznając i zwiedzając atrakcyjne miejsca na ich mapie podróży. Ja wraz z moją rodziną staram się połączyć obie te formy - trochę nad wodą (Mazury lub Kaszuby), a trochę w wielkim mieście, niekoniecznie w naszym kraju. W tym roku postanowiliśmy skorzystać z obniżki na wyprawę do Szwecji promem. Zniżka rodzinna wyniosła 50 proc. normalnej ceny biletu, więc byliśmy wielce zadowoleni, więcej koron zostało na przyjemności. Jak to możliwe?

Są okresy, kiedy prom musi wykonać rejs nawet przy wolnych miejscach i wtedy nadarzają się okazje do różnego typu zniżek. Bilet na prom został wyceniony na 299 zł. Cena ta została ustalona tak, aby wszystkie koszty utrzymania promu - paliwo, załoga, wyżywienie i inne - zwróciły się. Jeżeli ten koszt biletu został ustalony w oparciu o ilość miejsc, na przykład tysiąc, to koszt jednego kursu wynosi 299 tys. złotych. Przy sprzedanych na przykład 990 biletach dzieśmię miejsc pozostaje niewykorzystanych i przyniosłoby stratę w wysokości 2990 zł. Jeżeli uda się sprzedać taniej te wolne miejsca, firma zmniejsza swoje straty poprzez pomniejszenie zysków i to jest ten efekt krańcowy.

Kolejną okazją do oszczędności były ogromne wyprzedaże w tutejszych sklepach. Żona i córka były w „siódmym niebie”, ja z synem nie zawsze podzielaliśmy ich entuzjazm.

Po powrocie z wakacji postanowiłem przyjrzeć się bliżej temu systemowi zwanemu: OKAZJA, WYPRZEDAŻ, sprawdzając, jak to wygląda w naszych centrach handlowych i sklepach oraz u naszych rodzimych producentów. Pierwsza wizyta po przyjeździe w centrum handlowym zdziwiła mnie. Jako mężczyzna nie zawsze zauważałem czerwone napisy, zwłaszcza w punktach z odzieżą, biżuterią czy obuwiem. Postanowiłem dowiedzieć się, jak to działa w dużych sieciach handlowych. Zapytałem kierownika jednego ze sklepów sieci o zasięgu globalnym, specjalizującej się w sprzedaży odzieży dla młodzieży, o zjawisko wyprzedaży. Pan Adam stwierdził, że jest to praktyka powszechnie stosowana w świecie, zwłaszcza w sektorze odzieży sezonowej. Kiedy okres letni dobiega końca i powoli do salonów wkraczą kolekcje jesienne, towar który był hitem w sezonie, na przyszły rok już nim nie będzie. Spakowanie

*Trzecia zasada ekonomii: „racjonalni ludzie biorą pod uwagę wielkości krańcowe” brzmi bardzo zagadkowo, ale niemal każdy z nas stosuje ją w swoim działaniu na co dzień i często wyczekujemy, kiedy inni wprowadzą ją w życie*

## ELEGANT MAN też obniża ceny



niesprzedanych fasonów, przesłanie ich do producenta - to wszystko kosztuje, zwłaszcza transport. W takiej sytuacji lepiej jest dokonać obniżki towaru, który jest w pełni wartościowy i dobrej jakości.

Pomyślałem sobie - no dobrze, wielkie sieci handlowe mogą sobie pozwolić na taki ruch, a jak to wygląda u lokalnego przedsiębiorcy? Lokalny producent zazwyczaj nie prowadzi handlu, produkcji czy usług na skalę globalną; dobrze jest gdy działa na terenie kraju, a sukcesem gdy działa na rynkach unijnych. Do takich producentów zalicza się Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowe ELEGANT MAN ze Słupska.

- Jest to przedsiębiorstwo rodzinne - mówi pan Dariusz Pakuła, współwłaściciel - które powstało na fali przeobrażeń ustrojowych i gospodarczych w naszym kraju w roku 1989. Był to czas, gdy wszyscy posiadali gotówkę, lecz z towarem nie było łatwo. Podczas rodzinnego spotkania dwaj przedstawiciele rodu, pan Stanisław i pan Jan podjęli decyzję o „wzięciu sprawy w

swoje ręce” i budowie nowego salonu, takiego na miarę czasu. Pan Stanisław zajął się szyciem odzieży, jest w tym naprawdę dobry, a my z tatą zajęliśmy się jej sprzedażą i całą logistyką. Wyzdierżawiliśmy pomieszczenie w siedzibie Spółdzielni Pracy Produkcyjno-Usługowej „Bałtyk”; rozpoczęliśmy swoją działalność w pięć osób. Pierwsze lata były ciężkie, gdyż każde zarobione pieniądze lokowaliśmy w rozwój naszego przedsiębiorstwa. Było to spełnienie naszych marzeń oraz pasja, którą realizowaliśmy każdego dnia. W kwietniu 2003 roku po likwidacji Spółdzielni „Bałtyk” przejęliśmy obiekt przy ulicy Słowackiego w Słupsku, gdzie do dziś mieści się nasz sklep firmowy, szwalnia oraz biura. Od początku działalności postawiliśmy na jakość oferowanych produktów. Idąc tą drogą zatrudniamy obecnie wykwalifikowaną kadrę pracowników oraz nieustannie inwestujemy w nowoczesny park maszynowy. W 2004 roku starania te zaowocowały przyznaniem nam Certyfikatu Jakości ISO 9001.

Fot. Archiwum Autora



Wysoka jakość wyrobów, na którą postawili właściciele firmy, przyniosła i nadal przynosi efekty.

- Na specjalne zamówienie austriackiego handlowca szyjemy konkretne części garderoby regionalnych strojów, z charakterystycznymi barwami, znakami i herbami dla landów w Austrii. Na ostatniej europejskiej edycji targów Texprocess we Frankfurcie nad Menem nasze wyroby cieszyły się wielkim uznaniem i doceniono naszą wysoką jakość - mówi dalej p. Dariusz. - Nasze inwestycje w nowoczesne maszyny oraz przyjazne środowisko pracy przynoszą efekty. Obecnie nasze wyroby doskonale sprzedają się w Polsce i w krajach Unii Europejskiej. Ciekawe wzornictwo, bogata kolorystyka, staranne wykonanie, dobre jakościowo materiały i dodatki oraz atrakcyjne ceny - to nasze atuty.

Dobrze, że takie rodzinne firmy, pomimo różnych przeciwności, działają i rozwijają się na naszym lokalnym rynku, jednak postanowiłem dowiedzieć się, jakie problemy ma tego typu przedsiębiorstwo. Jedną z najważniejszych trudności jest konkurencja płynąca z Chin, która doprowadziła do upadku wielu naszych producentów tekstyliów. Wystarczy popatrzeć, jak wygląda przemysł produkujący tkaniny, chociażby w Łodzi.

- My korzystamy z materiałów wyprodukowanych w Bielsku Białej oraz wło-

skiej firmy ulokowanej w Bułgarii. Są to nasi główni dostawcy - mówi pan Dariusz. - Kolejnym problemem z jakim się zmagaliśmy, był brak wykwalifikowanych pracowników. Po zlikwidowaniu szkolenia zawodowego oraz możliwości zdobywania kwalifikacji poprzez cechy rzemieślnicze zaczęło brakować osób do pracy. Nowe technologie i nowe maszyny wymagały podnoszenia umiejętności, lecz okazało się, że nie ma gdzie tego robić. W naszej firmie sprawę potraktowaliśmy bardzo poważnie i rozpoczęliśmy kształcenie pracowników we własnym zakresie i na własne potrzeby. Po zdobyciu umiejętności pracownik był dopuszczany do produkcji i tak jest do dziś.

Zapytałem także pana Dariusza o tzw. wyprzedaże i oto co usłyszałem: - Rynek

nowy styl, na przykład marynarki dwurzędówki z haftem, to marynarka w kolorze, który był hitem tego sezonu, zostaje niesprzedana. Pamięając a pieniądzech włożonych w uszycie tej marynarki obniżamy jej cenę, gdyż przetrzymywanie jej powoduje dodatkowe koszty magazynowania. Oczywiście nie jest to korzystne, ale jest to ryzyko producenta, z którym stykamy się w codziennej działalności.

Pomimo tych przeciwności pan Dariusz jest pełen optymizmu co do przyszłości. Ciężka i uczciwa praca oraz utrzymywanie wysokiej jakości poprzez ciągłe szkolenie pracowników, to krok w dobrym kierunku.

Po tym rozpoznaniu sytuacji na rynku odzieżowym inaczej patrzę teraz na czerwone napisy typu: FOR SALE lub WYPRZEDAŻ. Wiem, że to co przez konsumentów jest wyczekiwane i wypatrywane, powoduje inne reakcje u tych, którzy ten produkt wytworzyli, a jeszcze inne posunięcia wykonują osoby sprzedające. Wykorzystując znajomość trzeciej zasady ekonomii, my konsumenci możemy dokonać zakupu produktów, których w normalnych warunkach z różnych powodów byśmy nie kupili. Sprzedawcy, chcąc ograniczyć koszty przetrzymywania i odsyłania niesprzedanego produktu, poprzez obniżkę cen powodują,

że towar nie zalega na półkach i zmniejszając ich zyski, zmniejsza ich stratę. Podobnie jest u producenta - jego elastyczność w stosunku do swojego wyrobu może spowodować dodatkową sprzedaż, a jednocześnie zainteresowanie ze strony klienta innym jego towarem.

**Mirosław Betkowski, Słupsk**

W następnym numerze o czwartej zasadzie ekonomii: „Ludzie reagują na bodźce”, czyli o tym,

odzieży jest bardzo zmienny, może konfekcja damska szybciej, lecz i męska także zmienia swój styl. W chwili gdy wchodzi

czy informacja o podwyżce na przykład cen paliw wpływa na postępowanie poszczególnych ludzi, producentów itp.?

Fot. Archiwum Autora



Fot. J. Maziejuk

Fot. Archiwum Autora



# Pod słupskim niebem

**- Jest Pan przedstawicielem młodego pokolenia pilotów z cenzusem akademickim. Wiem, że pochodzi Pan z Inowrocławia, jak zatem znalazł się Pan w Słupsku i jakie były Pana pierwsze kontakty z szybownictwem i lotnictwem?**

- W 1994 roku rozpocząłem kurs szybowcowy w Inowrocławiu. Potem zdobywałem kolejne uprawnienia aż do powołania mnie do Szybowcowej Kadry Juniorów. Od początku 2000 roku jestem instruktorem szybowcowym. W międzyczasie, w 1997 roku rozpocząłem pilotaż samolotowy. Obecnie posiadam licencję samolotową i uprawnienia instruktorskie. Do Słupska przyjeżdżaliśmy na wakacje - żona nad morze, a ja udawałem się na lotnisko w Krępie. Taki był mój pierwszy kontakt ze Słupskiem, a potem otrzymałem propozycję zatrudnienia przez Aeroklub.

**- Jak wspomina Pan swoje sportowe latanie i jak ocenia ten okres czasu?**

- Najczęściej wspominam lata dziecięctwa ubiegłego wieku, były to beztroskie i bezproblemowe lata mojej młodości. Latałem po pięć - sześć godzin na „termice”. Przeloty miały miejsce na trasie z Inowrocławia do Olsztyna, Kętrzyna, Włocławka, Płocka, Bydgoszczy, Konina. Wspominam codzienne pokonywanie długich przelotów i z tym związane się zaskakujące przygody - różne miejsca lądowania czy rozwiązywanie nieprzewidzianych sytuacji w trakcie przelotów. Mogę powiedzieć, że sport szybowcowy jest sportem dla ludzi zdrowych, odważnych, potrafiących szybko podejmować decyzje.

**- Jak Pan ocenia stan lotniska słupskiego, jego zasoby i wyposażenie?**

- W ramach Aeroklubu Słupskiego działa stowarzyszenie, klub sportowy i administracja lotniska Krępa. Właścicielem i zarządzającym lotniskiem jest Aeroklub Słupski. Zatrudnił on mnie, ponieważ posiadam określone uprawnienia, doświadczenie i legitymuję się certyfika-

*Rozmowa z Andrzejem Skowronem - dyrektorem Aeroklubu Słupskiego*



Fot. J. Maziejuk

tem Ośrodka Szkolenia Lotniczego. Aeroklub Słupski umożliwia osobom należącym do klubu uzyskiwanie uprawnień do dwóch licencji: szybowcowej i samolotowej. Koszt latania na szybowcach wynosi około pięćdziesiąt złotych za lot lub w skali miesięcznej - dwieście - trzysta złotych. W szkoleniu pilotażu na samolocie każda godzina kosztuje od czterystu pięćdziesięciu do pięciuset pięćdziesięciu złotych. Istnieje problem utrzymania lotniska w dobrym stanie technicznym i tutaj polegamy tylko na siłach własnych pracowników i pasjonatów. Mamy na uwadze ciągle rosnące potrzeby przydatności naszego lotniska, nie tylko do realizacji naszych zadań i celów, ale także dla potrzeb rozwijającego się biznesu regionu słupskiego.

**- Został Pan dyrektorem, Aeroklubu Słupskiego w styczniu 2012 roku. Jest to stanowisko prestiżowe, które zobowiązuje do realizacji własnej koncepcji rozwoju. Ciekawi mnie ta koncepcja.**

- To nie jest moje pierwsze stanowisko dyrektorskie. Byłem już dyrektorem

przed osiągnięciem trzydziestego roku życia. W Aeroklubie Słupskim zajmuję się administrowaniem i szkoleniem. Aeroklub posiada coroczny budżet, w którym staram się uporządkować wydatki i zmniejszyć w nim nieracjonalne koszty. W moim działaniu chciałbym wykluczyć ryzyko finansowe, ustabilizować finanse i zapewnić jasną perspektywę rozwoju. Działania marketingowe koncentrujemy na przekazaniu społeczeństwu informacji, jak wygląda współczesne lotnictwo i wyposażenie naszego lotniska. Dla tych celów organizujemy wystawy lotnicze, ostatnio w Centrum Handlowym Jantar i przygotowujemy dużą imprezę pn. Piknik Lotniczy. Mamy zawsze na uwadze otwartość naszego klubu dla osób, które chcą realizować pasję szybowcowe i lotnicze.

**- Jak Pan postrzega dzisiaj Słupsk?**

- W mojej ocenie Słupsk ostatnio radykalnie się zmienia. Jest to region, który ma dużo do zaoferowania turystom.

**- Dziękuję za poświęcony czas i rozmowę.**

**Rozmawiał: Włodzimierz Lipczyński  
Słupsk**

# Arabeski



Fot. W. Kruk

*W powojennych dziejach Słupska nie było zespołu, który z takim rozmachem rozstawiał nie tylko miasto nad Słupią, ale również Polskę. Słupskie Arabeski przez wiele lat koncentrowały uwagę odbiorców Telewizji Polskiej, Rosyjskiej, Bułgarskiej i NRD*

Fenomenalne artystki tworzą niepowtarzalną Słupską Grupę Baletową. Jest to unikalny zespół składający się na scenie z dwudziestu urodziwych dziewcząt, których wyjątkowy talent i pasja do tańca artystycznego potrafiły zdominować ich życie. Są to zawsze piękne dziewczęta wybrane z wielu, odznaczające się walorami fizycznymi, jednakowym wzrostem i długością nóg, występujące w jednakowych kostiumach w wieku od 13 do 25 lat. Trudno dziś przypomnieć wszystkie, chociaż na to zasługują. Na przestrzeni wielu lat Arabeski reprezentowały najwyższy kunszt taneczno-baletowy w Polsce. Dziewczęta po kilku latach pobytu w zespole wychodziły za mąż, czasami za cudzoziemców i odchodziły. Na ich miejsce przychodziły nowe. Przez czterdzieści pięć lat istnienia zespołu, było z nim związanych około tysiąca dziewcząt!

Fot. Archiwum Autora



Słupskie Arabeski - eksponowane jako polski produkt eksportowy, zdobywały niepodważalne uznanie u fachowców. Od powstania Grupy w 1968 roku do ubiegłego roku, kierowała nią założycielka zespołu Mieczysława Kętrzyńska, dawniej Kątnik, również choreograf, dzisiaj postać legendy słupskiej kultury. W ubiegłym roku przeszła na zasłużoną emeryturę - po czterdziestu czterech latach pracy.

W swoim gustownie urządzonej mieszkaniu eksponuje pamiątki z działalności Grupy, kroniki, plakaty i programy z okresu największej świetności Arabesek. Z

dumą opowiada o początkach, a także o tym, jak wspierał ją jako menadżer, organizator występów, fotograf i dokumentalista Stanisław Kątnik. Na początku zespół występował pod nazwą „Marionetki”. Nazwa obecna została wyłoniona w konkursie na początku lat siedemdziesiątych. Jest taka poza sceniczna, która przypomina symboliczną, wiotką wić i dlatego występuje w choreografii. Nawiązuje znaczeniowo do pojęcia „arabeska”, które oznacza ornament roślinny w formie stylizowanej wici roślinnej, a także formę muzyczną - miniaturę na fortepian. To też muzyka pełna ornamentyki, lekka i zwiewna. Znane muzyczne „arabeski” tworzyli romantyczni kompozytorzy, przybliżając kulturę Bliskiego Wschodu, a orientalne tony brzmiały w utworach Roberta Schumanna, Piotra Czajkowskiego, Claude Debusségo i innych. Autorstwo nazwy „arabeska” przypisuje się tancerzowi Ireneuszowi Kwiatkowskiemu, którego do jej wymyślenia skłoniły zwiewne stroje przypominające ubiór Arabek. Były to szaty specjalnie zaprojektowane z tiulu, a całość kojarzyła się z ubiorem kobiet Bliskiego Wschodu.

Choreografię dla zespołu opracowywała Mieczysława Kętrzyńska. Wykorzystując swoje przygotowania taneczne, talent i energię, promowała taniec nowoczesny, dynamiczny oraz śmiałe układy

taneczne. Preferowała tańce rewiowe, ale też stylizowane na ludowo, regionalne do muzyki m.in. F. Chopina, tańce współczesne, disco, jazz - modern. Był to ciekawy wzorzec dla młodzieży, która tańce te naśladowała. Stroje dla tancerek na początku projektowała też sama Pani Mieczysława, a w okresie największych sukcesów zespołu robiła to słynna polska projektantka Xy-

ubierała Arabeski. Na przykład jej kostium szlachecki został uznany za najpiękniejszy kostium ludowy na światowym konkursie w Brazylii w 1997 roku. Były to lata, kiedy zespół występował już na wszystkich znanych polskich scenach i festiwalach.

Pierwsze sukcesy przyszły już po dwóch latach intensywnej pracy. Arabeska została zauważona na Wojewódzkim Prze-



Fot. J. Maziejuk

mena Zaniewska. Inna projektantka, Kosa Gustkiewicz również zasłynęła oryginalnością i stylistyką swoich kostiumów, w które

gładzie Zespołów Tanecznych w Koszalinie, ale przełomowym był występ na turnieju miast - też w Koszalinie, który transmitowała telewizja pod nazwą: „My 1974”. Polski show biznes zainteresował się zaraz zespołem, posypały się propozycje występów na krajowych i zagranicznych scenach. Arabeski stały się znane.

Apogeum rozwoju przypada na okres zmiany modelu rozrywki w Polsce lansowanej przez Radiokomitet, gdzie wykorzystywano w programach telewizyjnych pomysły wybitnych reżyserów - Jerzego Gruzy, Jerzego Rzeszowskiego i Włodzimierza Gawrońskiego. Słupskie Arabeski w tych programach zdobyły sobie stałe miejsce, wkrótce stały się ozdobą także wielu innych programów.

Uroda dziewcząt podbijała serca widzów z całej Polski. Arabeski występowały w programach: „Pani X zaprasza”, „Dobry wieczór, tu Łódź”, „Zapraszamy do tanga”, „Wielka Rewia Targowa”. Po tych występach stały się polskim produktem eksportowym do: NRD, Czechosłowacji, Bułgarii i Związku Radzieckiego.



Fot. S. Kątnik

Pani Mieczysława wspomina, że w latach siedemdziesiątych Arabeski miały więcej występów w Niemieckiej Republice Demokratycznej niż w Polsce! W 1986 roku po raz pierwszy wyjechały do Niemiec Zachodnich. Okres największych sukcesów to lata 1970-1995. Lata późniejsze były już nieco inne, ale pasja pani Mieczysławy przewyższała pojawiające się trudności i kłopoty. Przyszedł czas, że z siedmiu etatów obsługi zespołu, pozostał tylko jeden związany z osobą choreografa i jednocześnie prowadzącego. Pokonywanie codziennych problemów jeszcze bardziej integrowało zespół, dodawało sił do pracy, a wsparcie sponsorów utrwalało przekonanie o potrzebie kontynuowania działalności.

Działalność Arabesek przez długi czas wspierała Fabryka Obuwia „Alka”, Fabryka Odzieży Skórzanej w Miastku, Słupski Loton, wspierały firmy Gino Rosi, Bajcar, Metzłom, Irena i Michał Staniuk. W okresie transformacji ustrojowej Arabeski wyruszyły na podbój Niemiec, Belgii i na nowo Polski. Z prowadzonych statystyk wynika, że występowały na estradach Europy ponad trzy tysiące razy! Towarzyszyły na scenach m.in. takim wybitnym artystom, jak: Anna Jantar, Irena Jarocka, Krzysztof Krawczyk, Halina Kunicka, Lucjan Kydryński, Amanda Lear, Alicja Majewska, Czesław Niemen, Jerzy Połomski, Krystyna Prońko, Danuta Rinn, Maryla Rodowicz, Andrzej Rosiewicz, Ludwik Sempoliński, Elżbieta Starostecka, Violetta Villas, Helena Vondrackowa, Andrzej Zaucha, zespołom Alibabki i Czerwone Gitary.

Pani Mieczysława wymienia dziewczyny, które dziesięć i więcej lat tańczyły w zespole. Są to: Agnieszka Beck, Jolanta Bonio, Danuta Grzybek, Marzena Osińska, Marzena Piołunkowska, Daniela Mendelewska i Beata Prusik. Arabeski występowały na otwarciu Rafinerii Gdańskiej i Portu Północnego, w Rewii Noworocznej w katowickim „Spodku”, podczas Centralnych Obchodów Święta Barbórkowego w Katowicach, na otwarciu Mistrzostw Świata w Hokeju, na Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, w koncercie w Neubrandenburgu z okazji święta

prasy, w Połtawie w ramach wymiany kulturalnej z Rosją, na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu, na estradzie wojskowej we Wrocławiu, na Centralnych Obchodach Święta MSW w Łazienkach i obchodach Święta Wojska Polskiego w Warszawie, na Międzynarodowym Festiwalu Orkiestr Wojskowych w Krakowie, na scenach w Karl-Marks-Stadt i Magdeburgu, w TV Lipsk i Rostock, we Friedrichstadpalast

paniator i nie żyjący już Jerzy Kiciński - akompaniator.

- Każde młode pokolenie należy zarażać bakcylem, czyli jakąś pasją. Nam się udało zarażać dziewczyny tańcem. Należy podejmować systematyczne próby, pracować, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć, a trud zostanie nagrodzony - mówi Mieczysława Kętrzyńska. - To są zadania dla instruktorów i nauczycieli, aby wyszukiwali samostne talenty i później z cierpliwością oraz pasją prawdziwego pedagoga zapewniaли im właściwy rozwój i przygotowanie na profesjonalnym poziomie. Umiłowanie wykonywanego zawodu, oraz systematyczna praca musi przynieść efekt. Ale młodzież musi się wykazać pracowitością i dyscypliną, dobrym zrozumieniem pracy w grupie. To są klucze do sukcesu. Wszystkim moim Arabeskom pragnę serdecznie podziękować za lata pracy. Pragnę też podziękować współpracownikom i mieszkańcom Słupska za wspólnie przeżyty czas, za wszystkie miłe chwile i radości z istnienia zespołu.

**Włodzimierz Lipczyński, Słupsk**  
**w.lipczynski@interia.eu**

PS. Z inicjatywy Jolanty Krawczykiwicz - dyrektorki Słupskiego Ośrodka Kultury i Beaty Kątnik - byłej Arabeski zawiązał się Komitet Organizacyjnego Obchodów 45-lecia Słupskiej Grupy Baletowej Arabeska. Został opracowany program uroczystości, które zaplanowano na 28 września br. w słupskiej Filharmonii Sinfonia Baltica. Organizatorzy spodziewają się, że na jubileuszowy koncert, połączony z benefisem Mieczysławy Kętrzyńskiej, przyjadą dziewczyny z najodleglejszych miejsc w Polsce, Europy, a nawet świata. Jednocześnie zaproszono gwiazdy estrady, którym niegdyś Arabeski towarzyszyły na scenach. Swoją przyjazd zapowiedzieli już m.in. Alicja Majewska, Włodzimierz Korcz i Zbigniew Górny. (WŁ.)



Fot. J. Maziejuk

obok „Goombay Dance Band”, Amandy Lear i John Hilla.

M. Kętrzyńska wspomina też inne osoby, które swoją pracą przyczyniły się do sukcesów. Są to: Stanisław Kątnik, Ryszard Ciechański - elektryk, Adelina Kojlej - garderobiana, Jan Szymczak - akom-



Fot. Archiwum M. Kętrzyńskiej

*Z roku na rok rośnie zainteresowanie ekologią. Przybywa amatorów żywności bez udziału środków chemicznych*

# Promocja nie tylko dobrej żywności

Potwierdziły to kolejne targi ekologiczne „EKOLOGA” w Rzeszowie, na których pojawiło się blisko sto firm nie tylko z Polski, ale też z Ukrainy, Słowacji, Chorwacji i Włoch. Przy okazji targów postawiono na edukację pszczelarską. Uczniowie szkół podstawowych mogli wysłuchać informacji o ekologicznym rolnictwie i pszczelarstwie. Odbyły się konkursy związane ze światem pszczół i korzyściami płynącymi z miodu. W panelu edukacyjnym dla pszczelarzy swoją uwagę przyciągnął ciekawy wykład o perspektywach rozwoju apiterapii wygłoszony przez prof. dr hab. Artura Stojko ze Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach. Miód to nie tylko produkt spożywczy, ale też kosmetyk znany już w starożytności. Żałować należy tylko, że w Polsce mamy do czynienia z bardzo niskim spożyciem miodu, bo zaledwie 0,5 - 0,7 kg na mieszkańca, gdy w Niemczech 2 kg, a w Grecji aż 3,5 kg.

Jak co roku nie zabrakło wyrobów piekarniczych. „Baszpol” z Grzegorzówki prezentował m.in. chleb i ciastka orkiszowe oraz mąki różnego typu. Znajdują one klientów w sąsiednich województwach, a

śliwe, atak i zawał serca, arytmie, astmę oskrzelową, wrzody żołądka, wady wzroku i słuchu, artretyzm, problemy dermatolo-

nawet w stolicy. Ciekawą ofertę przywiózł do Rzeszowa Tomasz Obszański z Tarnobrogu na Lubelszczyźnie. Jego „Barwy zdrowia” wygrały konkurs na najładniejsze stoisko. Mające certyfikat ekologiczny produkty tej firmy to m.in. oleje rzepakowe i lniane. Te ostatnie nawet z dodatkiem żeńszenu. Właściciel firmy poleca też dietę dr Budwig. Została ona ogłoszona w 1951 roku jako doskonała recepta na ponad dwadzieścia schorzeń: nowotwory łagodne i zło-

śliwaczony jogurt naturalny lub kefir. Pastę przechowujemy nie dłużej niż 48 godzin w lodówce. Można ją przyprawić na słono (sól, świeży ogórek, szczypiorek), na słodko (miód, cynamon), na ostro (czosnek, pieprz, imbir). Pasta może być spożywana samodzielnie lub stać się podstawą sosów do warzyw, kaszy, ryżu. Podana z owocami czy musli stanie się smacznym deserem lub pożywnym śniadaniem.

O tym, że można działać wspólnie przekonywała grupa producentów ekologicznych „Dolina gryki” z Kotliny Kłodzkiej. Obok gryki uprawia się tam owies bezłuskowy, soczewicę i dynię oleistą.

Od ponad dwóch lat jako jedna z nielicznych w kraju Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Jasienicy Rosielnej produkuje wyroby ekologiczne: mleko, masło i twarogi. Nic dziwnego, że na targach to stoisko było oblegane przez zwiedzających.

Tradycją rzeszowskich targów są też prezentacje niektórych szkół z Podkarpacia zachęcających do nauki młodzież. Ciekawostką wraz z pozdrowieniami od dyrekcji i uczniów Zespołu Szkół Techniczno-Weterynaryjnych w Trzcinie był przepis na ciasteczka owsiane. Oto on. Składniki: 260 g płatków owsianych, 110 g dowolnych orzechów, 100 g rodzynków, 95 g mąki pszennej, 170 g miękkiego masła, 120 g brązowego cukru, 1 duże jajko, aromat waniliowy, ½ łyżeczki cynamonu, ½ łyżeczki sodu i sól. Sposób wykonania: orzechy wykładamy na



Fot. Archiwum Autora

giczne, depresję, cukrzycę i wiele innych. Podstawowym elementem diety jest bardzo prosta w przyrządzaniu pasta: 12,5 dag chudego twarogu dokładnie miksujemy z 4-8 łyżkami oleju lnianego (ilość łyżek oleju zależy od tego czy stosujemy dietę profilaktycznie czy leczniczo), dla uzyskania gładkiej konsystencji można dodać od-

blaszkę wyłożoną papierem do pieczenia i wstawiamy na 8-10 minut do piekarnika nagrzanego do 180° C. Po przestygnięciu drobno siekamy. Masło ucieramy z cukrem przez 2-3 minuty, dodajemy jajko i aromat waniliowy. W drugiej misce mieszamy razem mąkę, sodę, sól i cynamon. Do masła wysypujemy mąkę i dokładnie mieszamy.



Następnie dodajemy płatki owsiane, orzechy, rodzynki (powstanie gęsta masa). Ciasto nakładamy łyżeczką na blaszkę wyłożoną papierem do pieczenia lub rękołmą formujemy kulki i lekko je spłaszczamy. Pieczemy w temperaturze 170° C przez około 15 minut. Oczywiście była również degustacja takich ciasteczek.

Warto też odnotować obecność w Rzeszowie firm nawozowych. Bydgoskie ARJO pokazało jedyny na rynku nawóz Lithovit dostarczający roślinom CO<sub>2</sub>, składający się z węglanu wapnia i mikroelementów, który może być stosowany skutecznie także na wolnym powietrzu. Po raz drugi i jako jedyna z Pomorza prezentowała się firma Polger-Kido ze Słupska. Posiada ona w swojej ofercie biologiczny stymulator wzrostu bioalgeen do wykorzystania również w produkcji ekologicznej.

Doskonałą okazją były prezentacje gospodarstw agroturystycznych, powiatów i województw. Moją uwagę przyciągnęła ekspozycja powiatu leżajskiego. Ciekawie przygotowane foldery o ziemi leżajskiej z poleceniem najciekawszych miejsc i listą gospodarstw agroturystycznych były dobrym przewodnikiem dla potencjalnych turystów. Gospodarstwo Anny Sawy z Jabłonny w Lubelskiem polecało... piernik żydowski zawierający w składzie m.in. kawę naturalną, brandy i bakalie. Jego receptura sięga czasów sprzed II wojny światowej i jest symbolem nadziei na dostatni rok.

Przez kolejne trzy dni rzeszowska EKO GALA cieszyła się dużym zainteresowaniem zwiedzających z całego kraju. Interesujące oferty ekologicznej żywności, porady, degustacje i wykłady potwierdzają celowość i trafność tej imprezy. Wystawcy za udział w targach nie płacą. Może to za chęci firmy z naszego regionu.

**Kazimierz Jutrzenka, Słupsk**

Choroby zakaźne towarzyszyły życiu człowieka od samego początku. Ich opisy, proponowane sposoby leczenia i zalecenia zdrowotne pojawiały się już w starożytnych Chinach, Indiach, Egipcie, a także później w Księgach Hipokratesa. Zawarta w nich wiedza nie straciła na aktualności po dzień dzisiejszy. Już w tamtych czasach, prawidłowo wskazywano niektóre metody walki: przestrzeganie zasad higieny, zaopatrzenie w wodę, izolację chorych. Na przełomie lat 60. i 70. XX wieku, kiedy większość chorób zakaźnych o znaczeniu społecznym została opanowana i sytuacja epidemiologiczna uległa znaczącej poprawie, zaczęło panować przekonanie, że pod tym względem, w dobie dynamicznie rozwijającej się techniki, nauk biologicznych, medycyny i farmaceutyki, nic nam już nie grozi.

Wprawdzie niektóre choroby zostały wyeliminowane lub ograniczone poprzez wprowadzenie szczepień, istnieją jednak choroby stanowiące nadal bardzo duże zagrożenie dla życia i zdrowia ludzi. Jedną z takich, na którą nie ma do tej pory szczepionki, jest właśnie wirusowe zapalenie wątroby typu C wywołane wirusem HCV. Problem dotyczy około 3 proc. populacji świata, czyli ok. 130-170 milionów ludzi. Każdego roku grupa ta powiększa się o kolejne 3-4 miliony. Według szacunków Światowej Organizacji Zdrowia WHO, przy niskiej wykrywalności zakażenia wirusem HCV, a co za tym idzie wdrożeniu właściwej terapii, liczba zgonów spowodowanych WZW C w najbliższych latach zwiększy się.

Polska Grupa Ekspertów HCV, opierając się na wynikach przeprowadzonych niedawno badań epidemiologicznych szacuje, że liczba zakażonych w naszym kraju może wynosić ok. 730 tys., czyli 1,9 proc. populacji. Nierozpoznana do końca skala problemu może dotyczyć blisko 700 tys. Polaków, którzy stanowią potencjalne źródło zakażenia.

Mieszkańców Słupska i powiatu słupskiego problem ten również dotyczy, nawet w większym stopniu niż przeciętnego Polaka. Zapadalność na WZW typu C w 2012 roku wynosiła w skali kraju 5,68, a Słupsk i powiat słupski znacznie przekraczają te parametry. Oczywiście dane te dotyczą zdiagnozowanych przypadków. Ile osób tak naprawdę jest nosicielem wirusa HCV nie wiadomo, bo nadal wykonuje się niewystarczająco

*Od 130 do 170 milionów ludzi na świecie (ok. 3 proc.) choruje na wirusowe zapalenie wątroby typu C wywołane wirusem HCV. Każdego roku grupa zakażonych powiększa się o kolejne 3-4 miliony. Polskę problem ten też dotyczy, a mieszkańców Słupska i powiatu słupskiego nawet w większym stopniu niż przeciętnego Polaka*

## Cichy zabójca



Fot. D. Wojtas

jąco ilość badań w kierunku jego wykrycia.

Sytuację w zakresie diagnostyki w naszym regionie niewątpliwie pogarsza fakt likwidacji w słupskim szpitalu Oddziału Chorób Zakaźnych. Najbliższy taki oddział

znajduje się w Pomorskim Centrum Chorób Zakaźnych i Gruźlicy w Gdańsku, przy ulicy Smoluchowskiego. Dotarcie do niego samochodem zabiera ok. dwóch godzin jazdy w jedną stronę.

W przypadku WZW C i innych chorób zakaźnych, ważna jest profilaktyka. Opiera się ona na wiedzy, świadomości i prewencji, a z tym, zdaniem ekspertów, nie jest najlepiej. Cóż zatem powinniśmy wiedzieć na temat zakażenia wirusem HCV i choroby, którą on wywołuje? Przede wszystkim trzeba pamiętać, że wirusem tym może się zarazić każdy. Przenosi się on głównie podczas zabiegów medycznych z naruszeniem ciągłości powłok ciała. Do zakażenia może dojść też w trakcie codziennych czynności pielęgnacyjnych, gdy dochodzi do kontaktu z krwią domowników. Na przykład poprzez używanie tej samej maszyny do golenia czy nożyczek do paznokci itp. Zagrożenie może stanowić również wizyta u fryzjera, kosmetyczki, manikiurzystki, stomatologa, w punkcie tatuażu. Wirus ten rzadziej przenosi się poprzez kontakty seksualne, a także z matki będącej w ciąży na dziecko. Jednakże w grupie podwyższonego ryzyka zakażeniem są osoby utrzymujące ryzykowne kontakty seksualne, przyjmujące narkotyki drogą dożylną i donosową. Inną grupę ryzyka stanowią osoby, które przed 1992 rokiem miały przetaczaną krew, gdyż jest dopiero od 1992 roku badana w kierunku obecności wirusa HCV.

A co jeżeli już dojdzie do zakażenia? Wirusowe zapalenie wątroby typu C zwane jest „cichym zabójcą”, gdyż najczęściej przebiega bez żadnych objawów czy dolegliwości, niszcząc w tym czasie wątrobę człowieka. Niecharakterystyczne objawy mogą, ale nie muszą wystąpić. Najczęściej są to: złe samopoczucie, nadmierne zmęczenie, bóle mięśni i stawów, nudności. Ostry przebieg z żółtaczką pojawia się rzadko. Jeżeli w odpowiednim czasie nie wykona się badania, nie wykryje zakażenia, to dojdzie do choroby niszczącej wątrobę, wymagającej długotrwałego, kosztownego i skomplikowanego leczenia. Wczesna diagnoza jest kluczowa i może uratować życie, dlatego ważne jest wykonywanie testów diagnostycznych w kierunku wykrycia wirusa.

W Polsce trwają obecnie kampanie uświadamiające zagrożenie WZW C - „Cichy zabójca WZW C. działa w ukryciu. Twoja niewiedza utrzymuje go przy życiu.”, „Mam prawo wiedzieć” czy „Zbadaj się, bądź świadomy”. Wszystkie zmierzają do wzrostu wiedzy, ale też nawiązują do wykonywania badań krwi na obecność przeciwciał anty-HCV. Mobilizują do tego nie tylko potencjalnie zakażonych, ale też władze samorządowe do ich wspierania w ramach lokalnych programów prozdrowotnych.

**Jolanta Zawadzka-Anuszevska**  
Powiatowa Stacja Sanitarno-  
Epidemiologiczna w Słupku

# Hufce potrzebne młodzieży



Fot. Archiwum Autora

Ochotnicze Hufce Pracy nawiązują w swojej działalności do tradycji Junackich Hufców Pracy, które powołano do życia dekretem z 22 września 1936 roku przez prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego. Zadaniem Junackich Hufców Pracy było zapewnienie młodzieży obojga płci, obok pełnienia służby pracy, także przysposobienie do służby wojskowej lub do wojskowej służby pomocniczej, a nadto nabycie kwalifikacji zawodowych, wychowania obywatelskiego i oświaty ogólnej. Po II wojnie światowej zadania te przejęła Służba Polsce. Zajął się osieroconą młodzieżą, stworzyła jej warunki do nauki i likwidacji analfabetyzmu oraz zapewniała pracę, której głównym celem była odbudowa zniszczonego kraju.

Powyższe zadania od 1958 roku kontynuowały Ochotnicze Hufce Pracy, które rozpoczęły działalność w Bieszczadach od budowy kolejki wąskotorowej. „Wszystko jest tutaj krępe, brunatne i jakby tylko z grubsza ociosane - pisał Jan Krzysztofowicz w „Życiu Warszawy” z 1958 roku. - Góry, drzewa, mosty, nawet ludzie i maszyny... Po deszczu oblepia je brunatna glina, podczas suszy przysypuje brunatny pył. Bardzo dziwnie wyglądają na tym tle zwinne, miejskie sylwetki. Typowo łódzkie lub warszawskie. Przed barakiem kręcą się chłopcy. Jest ich niewielu: najwyżej dwudziestu. W zupełnym milczeniu wyładowują z platformy łóżka i taczki. Czasem tylko jeden rzuci drugiemu małe słóweczko. Ale jakie!”.

13 czerwca 1958 roku Uchwałą Rady Ministrów Nr 201/58 powołano Ochotnicze Hufce Pracy. Za główne zadanie uznano niesienie pomocy w rozwijaniu gospodarki narodowej oraz stworzenie młodzieży możliwości zdobywania podstawowych wiadomości zawodowych

W Oświęcimiu młodzież pracowała przy rozbudowie Zakładów Chemicznych. Brała udział przy budowie Huty „Kattowice”, płockiej „Petrochemii”, elektrowni „Bełchatów”, łódzkich Zakładów Włókien Sztucznych, wielu innych wielkich fabryk, stocznii oraz prawie wszystkich większych obiektów przemysłowych i użyteczności publicznej. Chodziło o przygotowanie młodzieży do życia oraz aktywnego udziału w życiu kraju, wychowanie dla jego przyszłości. Jedną z najlepszych dróg realizacji tego zadania było wychowanie przez pracę.

W latach 80. szczególnie rozwijała się działalność hufców sezonowych oraz wymiana zagraniczna młodzieży. Zachodzące zmiany społeczno-polityczne w kraju w latach 1989-1990 spowodowały, iż w 1990 roku wyprowadzono ze struktur OHP oddziały obrony cywilnej i oficerów zawodowych Wojska Polskiego. Rząd premiera Tadeusza Mazowieckiego uznał, że OHP są bardzo potrzebną i ważną instytucją dla państwa, której zadaniem jest pomoc młodzieży zagrożonej i niedostosowanej społecznie w celu przeciwdziałania bezrobociu i wyrównywania szans życiowych. Od roku 2004, na mocy ustawy o promocji zatrudnienia i instytucjach rynku pracy, OHP wykonują zadania państwa na rzecz młodzieży powyżej 15 roku życia i bezrobotnych do 25 roku w zakresie zatrudnienia oraz przeciwdziałania marginalizacji, wykluczeniu społecznemu, a także zadania w zakresie kształcenia i wychowania. Głównym celem działalności OHP jest stwarzanie młodzieży warunków prawidłowego rozwoju społecznego i zawodowego poprzez budowanie systemu pomocy dla grup najsłabszych, organizowanie i wspieranie form wychodzenia z ubóstwa, bezrobocia i patologii społecznych. W Słupsku w ramach Ochotniczych Hufców Pracy funkcjonują dwie placówki opiekuńczo-wychowawcze: 11-19 Hufiec Pracy i 11-23 Środowiskowy Hufiec Pracy oraz Centrum Edukacji i Pracy Młodzieży, w którym znajduje się Młodzieżowe Biuro Pracy, Mobilne Centrum Informacji Zawodowej, Klub Pracy i Dział Refundacji.

11-23 Środowiskowy Hufiec Pracy prowadzi działalność od 1 września 1999 roku. Jest jednostką o szerokim profilu działań opiekuńczych, kształceniowych i doradczych, podejmowanych przede wszystkim z myślą o potrzebach młodzieży zagrożonej wykluczeniem społecznym. Oferuje dwie formy kształcenia zawodowego. Młodzież ma możliwość uzupełnienia wykształcenia II i III klasy gimnazjum jednocześnie przyuczając się do określonej pracy w różnych zawodach. Absolwenci gimnazjum mogą kształcić się w zasadniczej szkole zawodowej lub uczyć się zawodu systemem pozaszkolnym. Na co dzień hufiec ten współpracuje z Młodzieżowym Gimnazjum, Zasadniczą Szkołą Zawodową „TOKARNIA” oraz Zespołem Szkół Ponadgimnazjalnych Nr 4 „Mechanik” w Słupsku.

Uczęszczająca na zajęcia młodzież odbywała praktyki zawodowe w około osiemdziesięciu zakładach pracy w takich specjalnościach, jak: ślusarz, mechanik pojazdów samochodowych, lakiernik, blacharz samochodowy, mechanik-monter maszyn i urządzeń, monter sieci instalacji i urządzeń sanitarnych, stolarz, kucharz, sprzedawca, cukiernik, piekarz i fryzjer.

Od 2004 roku jednostka włączyła się w realizację ogólnopolskich programów OHP współfinansowanych przez Europejski Fundusz Społeczny. Wzięła udział w edycjach projektu pn. „Twoja wiedza - Twój sukces”, „Szkolenie - Praktyka - Zatrudnienie - Rozwój” oraz „Nowe Perspektywy”. Ze wsparcia tego skorzystało 250 uczestników. Beneficjenci brali udział w zajęciach z psychologiem, doradcą zawodowym, prawnikiem i lekarzem, w zajęciach wyrównawczych z przedmiotów szkolnych, a także uczyli się języka angielskiego i podstaw obsługi komputera. Niektórzy nabyli umiejętności na kursach zawodowych i zdobyli prawo jazdy kat. B.

Hufiec ten zapewnia nie tylko możliwość nauki, stwarza także odpowiednie warunki do prowadzenia działań opiekuńczo-wychowawczych. W ramach aktywizacji młodzieży w różnych dziedzinach, rozbudzania i rozwijania wszechstronnych zainteresowań oraz kształtowania pozytywnych nawyków spędzania czasu wolnego, kadra hufca zachęca uczestników do udziału w imprezach kulturalno-oświatowych oraz sportowo-rekreacyjnych, w konkursach, zawodach i turniejach. W tym roku już po raz dziesiąty 11-23 Środowiskowy Hufiec Pracy był organizatorem Wojewódzkiego Turnieju Tenisa Stołowego OHP pn. „GRA FAIR-PLAY”. W okresie ferii szkolnych prowadzona jest akcja „Zima z OHP - Ferie zimowe - nigdy domowe” oraz akcja „Lato z OHP” - obie skierowane są do dzieci i młodzieży ze środowisk lokalnych.

Kadra Hufca realizuje również programy autorskie i wojewódzkie. W tym roku szkolnym realizowano program „Aktywnie uczestniczyć w życiu wspólnoty lokalnej”. Młodzież spotkała się m.in. z prezydentem Słupska Maciejem Kobylńskim i starostą słupskim Sławomirem Ziemanowiczem. Działa Rada Młodzieży Hufca, która ma istotny głos w organizacji działań wychowawczych i podejmowanych przedsięwzięć. Przewodnicząca Alina Drzewiecka, uczennica klasy II Zasadniczej Szkoły Zawodowej „TOKARNIA” wyróżnia się dodatkową działalnością w Klubie Aktywnych. Jej droga do sukcesu rozpoczęła się w ubiegłym roku, kiedy to wystartowała w wyborach do Młodzieżowej Rady Miasta Słupsk. Jako młodzieżowa radna uroczyste ślubowanie złożyła w Urzędzie Miejskim 15 kwietnia br. W tym roku została wyróżniona też nagrodą Komendanta Głównego OHP.

**Bogumiła Biechońska  
Słupsk**

**W**ystawę otwarto w środę, 3 lipca. Najstarszy plan pochodzi z 1810 roku i przedstawia Biały Bór. Genetę powstania wystawy przybliżyła gościom Joanna Chojcka, dyrektor Archiwum Państwowego w Koszalinie. Słupski gród stanowił niewielki ośrodek obronny, sięgający początków IX wieku. Znajdował się na prawym brzegu Słupi. Był usytuowany na wyspie utworzonej przez ramiona rzeki (dziś już nie istniejące) Słupi, rozciągające się na wschód od jej dzisiejszego koryta. Było to miejsce o znaczeniu handlowym oraz strategicznym, umożliwiało przeprawę przez Słupię, na ważnym szlaku komunikacyjnym, łączącym Gdańsk ze Szczecinem i Wolinem. Dzisiaj w miejscu dawnej przeprawy usytuowany jest kościół św. Ottona. Powierzchnia dawnego grodu zachowała się w postaci stożkowego wzniesienia o średnicy około 50 metrów. Wzniesienie to jest dziś ograniczone ulicami: Partyzantów - od strony zachodniej, Henryka Pobożnego - od strony wschodniej i ulicą Kościelną od południowej. Sam gród otoczony był wałem ziemnym z drewnianymi balami, wzmacniany u podstawy przez konstrukcję kamienną. Na północ od istniejącego grodu, po prawej stronie Słupi, istniała jeszcze wczesnośredniowieczna osada otwarta. Leżała ona w obrębie dzisiejszych ulic: Kaszubskiej, Kościuszki i Traugutta. Na prawym brzegu Słupi znajduje się plac przy obecnym kościele Najświętszego Serca Jezusowego. W miejscu tym, kiedyś znajdował się ośrodek kultu pogańskiego (odkryto kamienną płytę z wyobrażeniem pogańskiego bóstwa), po przyjęciu chrześcijaństwa zastąpiony przez najstarszy słupski kościół - św. Piotra. Po lewej stronie Słupi, w miejscu dzisiejszego kościoła św. Jacka zaznaczono budynek klasztoru, w osadzie pojawia się też kościół św. Mikołaja (obecnie Biblioteka). To właśnie po tej stronie rzeki od przełomu XIII i XIV wieku rozwijało się miasto, lokowane dwukrotnie, w 1265 i 1310 roku.

Aż do początków XVII wieku obszar miasta i jego zabudowa nie podlegały większym zmianom. W tym okresie najważniejszymi budowlami w mieście były ratusz, który znajdował się na Starym Rynku, kościół NMP oraz Zamek Książąt Pomorskich, wzniesiony przez księcia Bogusława X na początku XVI wieku. Szczególną uwagę należałoby zwrócić na fortyfikacje miejskie, rozbudowane w XIV i XV wieku. Z zachowanych do dzisiejszych czasów dokumentów wiadomo, że do XIV wieku miasto było otoczone palisadą. Trwałe umocnienia, czyli mury, zaczęto wznosić dopiero po roku 1325. Wiadomo, że większość z nich powstała do 1374 roku. W pierwszej kolejności zrealizowano dolne partie trzech głównych bram - Młyńskiej, Nowej i Holsztyńskiej. Drugi etap budowy polegał na podwyższeniu bram oraz budowie ciągów muru od strony południowej, zachodniej i

# Jak zmieniał się Słupsk?

*W czytelni głównej Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku otwarto wystawę „Plany miast w zasobie Archiwum Państwowego w Koszalinie”. Wyeksponowano ponad 30 planów, wśród których znalazły się plany Słupska Koszalina, Bytowa, Szczecinka, Człuchowa, Sławna, Ustki i Darłowa oraz wielu innych miejscowości z Pomorza Zachodniego oraz Północnej Wielkopolski*



Fot. Archiwum Autora

północnej. Ostatnie mury obronne (w tym Baszta Czarownic) powstały wzdłuż brzegów Słupi dopiero na początku XV wieku. Do tej pory ich rolę pełniła Słupia, która była naturalną przeszkodą.

Słupskie mury wzniesiono na kamiennych fundamentach, na które ułożono gliniane cegły. Przy murach od strony miasta przebiegał chodnik, po którym mogli przemieszczać się obrońcy. Obwód murów średniowiecznego Słupska wynosił prawie 2,5 kilometra. Ich pierwotna wysokość nie jest znana. Najwyższe zachowane do dziś partie mają sześć i pół metra wysokości i około jeden metr grubości.

W XV wieku nastąpiła dalsza modernizacja murów - zamurowano otwarte dotąd od strony miasta otwory górnych kondygnacji bram Młyńskiej i Nowej oraz

Baszty Czarownic. Bramy - Nowa i Holstyńska otrzymały murowane przedbramia, a od strony rzeki wzniesiono furtę (Bramę) Kowalską upraszczającą wjazd do miasta przez zbudowaną na podmokłych łąkach groblę. W 1507 roku, wbrew dawniejszym zobowiązaniom i mimo sprzeciwu mieszczanstwa, książę Bogusław X rozpoczął przy południowo-wschodnim krańcu murów miejskich budowę nowego, renesansowego zamku.

Prawobrzeżna część obecnego miasta z pozostałościami dawnego grodu straciły na znaczeniu, zmianom uległa też sieć wodna, na przykład stopniowo zanikają dawne koryta Słupi. Dopiero wybuch wojny trzydziestoletniej spowodował istotne zmiany w zabudowie, miasto otoczono wówczas dodatkowymi wałami

ziemnymi, na których założono bastiony uformowane w pagórki.

Panoramę miasta z początku XVII wieku doskonale przedstawia mapa Lubinusa. Wielka Mapa Księstwa Pomorskiego (potocznie zwana mapą Lubinusa) powstała w latach 1610-1618 na zamówienie księcia szczecińskiego Filipa II. Jej autorem był niemiecki kartograf Eilhardus Lubinus, który dla ustalenia danych geograficznych długo podróżował po terenie księstwa. Przy zewnętrznej krawędzi arkusza umieszczono panoramy najważniejszych miast Pomorza, w tym Słupska. Holenderski malarz Hans Wolfart wiernie przedstawił położenie miasta i jego przestrzenną strukturę oraz dominujące budynki: główny wjazd do miasta obok zamku książęcego i bramy młyńskiej, w głębi bramę nową, wieżyczkę szkoły łacińskiej, kościół mariacki, stary ratusz, kościół św. Mikołaja i bramę Holstenów.

W następstwie skutków, jakie niosła za sobą wojna trzydziestoletnia w latach 1618-1648 Słupsk doświadczył wielkiego spadku demograficznego, miasto wyrównywało poniesione straty w potencjale ludzkim przez ponad 100 lat! W końcowej fazie wojny trzydziestoletniej Słupsk liczył zaledwie 2300 mieszkańców. W roku 1756, gdy nadciągała kolejna wielka wojenna pożoga - wojna siedmioletnia 1756-1763, liczna ludność wyniosła ok. 4500, a więc tyle samo, co przed wybuchem wojny trzydziestoletniej. Straty wśród ludności cywilnej w trakcie wojny siedmioletniej wyniosły około 1000 osób. Zanim miasto zdołało odbudować swój potencjał ludnościowy, spadła na Słupsk kolejna klęska w postaci zarazy, która w latach 1744-1745 pochłonęła około 500 osób, głównie wśród kobiet i dzieci. Na koniec XVIII wieku ogólna liczba mieszkańców Słupska wynosiła około 4700 osób. Struktura narodowościowa ludności ziemi słupskiej uległa zasadniczej zmianie po roku 1720.

W XVIII wieku ludność Słupska wzrosła o około 60 procent. Przypuszczalnie, zdecydowana większość tego przyrostu zasilili Nowe Miasto. Część Starego Miasta w połowie XVIII wieku liczyła około 40 budynków mieszkalnych. Około 15 budynków umiejscowionych było na przedmieściu, przed Nową Bramą, w kierunku traktu do Sławna. Rejon Nowego Miasta w pobliżu Bramy Holstenów został przeznaczony pod budownictwo mieszkaniowe, które zostało objęte tu korzystnymi ulgami podatkowymi. Pilnego remontu wymagała Brama Kowalska, ratusz, szkoła łacińska, fragmenty murów miejskich oraz inne budynki użyteczności publicznej. Średniowieczną zabudowę śródmiejską zastąpiono zwartymi, trójkondygnacyjnymi kamienicami miejskimi, o zróżnicowanych szczytach i odmiennej rzeźbie fasad. Niestety olbrzymia część miejskiej, zabytkowej zabudowy z tego okresu, została zniszczona przez Armię Czerwoną w 1945 roku. Jedy-

ną z nielicznych pozostałości dawnej architektury mieszkalnej przy Starym Rynku jest kamieniczka mieszczańska i tzw. Apteka Dworska z 1783 roku.

Słupsk posiada stosunkowo bogaty zbiór planów miasta. Najstarsze z nich pochodzą z 1735 roku i z lat 1770-1780. Na najstarszym zachowanym planie wykonanym w latach 1730-1735 na zlecenie Fryderyka Wilhelma I przez mierniczego Friedricha Avena - wyraźnie widoczne są średniowieczne fortyfikacje miejskie, m.in. trzy bastiony, zabudowania miejskie, pola uprawne, łąki, ogrody i tereny zielone, sieć wodna. Na planie tym można rozpoznać kompleks zamkowy, stary ratusz, kościoły: NMP, św. Mikołaja, św. Piotra (obecnie Najświętszego Serca Jezusowego). W zbiorach Muzeum Pomorza Środkowego znajdują się poza tym: plan miasta z 1780 roku Ernsta Wilhelma Arndta, który przedstawia rzut poziomy Słupska na Pomorzu Tylnym (Grundriss der Stadt Stolp in Hinterpommern), plan miasta z 1811 roku w rzucie poziomym (został pomierzony i wykonany w 1811 roku przez Schaffta) oraz plan Słupska Zenkego z lat 1867-1869. Plan Słupska z 1875 roku Zenkego został skopiowany i zaktualizowany przez A. Müllera.

W zbiorach Archiwum Państwowego w Koszalinie znajduje się seria kilkudziesięciu planów zabudowy Słupska z 1893 roku, na których z kilkuletnim wyprzedzeniem rozrysowano perspektywę rozwoju miasta. Na jednym z tych fragmentów widać zarys planowanej budowy ratusza (1901) oraz byłego domu towarowego „Słowniec” (Zeeckhaus około 1910 r.). Przedstawiany fragment ukazuje tereny wokół Miejskiej Biblioteki Publicznej, gdzie widzimy projekt przedłużenia części obecnej ulicy Francesco Nullo (dawniej Holzenthor-mauer-Str.) w kierunku ulicy Kilińskiego (Präsidenten-Str.). Linie wytyczające nową drogę wyraźnie prowadzą przez budynek klasztoru i szkoły żeńskiej (obecnie MBP). W sferze domysłów można pozostawić pytanie, czy piękny i zabytkowy obiekt mógł podzielić los bramy Holsztyńskiej, którą rozebrano w II połowie XIX wieku?

Lata 1911-1926 to jeden z najbardziej dynamicznych okresów rozwoju miasta. W okresie wojen napoleońskich, Słupsk zamieszkiwało około 5 tys. ludzi. Dziesięć tysięcy mieszkańców, miasto przekroczyło w połowie XIX wieku. Natomiast w latach 1875-1913 Słupsk podwoił liczbę mieszkańców, przekraczając w 1913 roku 35 tysięcy. Na podstawie planów można stwierdzić, że granice miasta przesunęły się znacznie w porównaniu ze średniowiecznymi. Najszybciej rozrastało się przedmieście przed Nową Bramą, wzdłuż drogi do Sławna, budownictwo objęło też prawobrzeżny obszar Słupi. Część budynków, które dawniej pełniły znaczną rolę (np. Stary Ratusz, Brama Kowalska, Brama Holstenów) rozebrano. W miejscu dawnych obwarowań i umocnień

powstały szerokie aleje, parki (np. al. Sienkiewicza), założono nowe place, a wzdłuż głównych ulic budowano reprezentacyjne kamienice (np. Wojska Polskiego i Anny Łajming). Na planach pojawiły się linie kolejowe, które stały się ważnym impulsem do znacznego rozszerzenia terenów osiedlowych oraz powstawania fabryk. Na większości planów z łatwością można dostrzec obiekty użyteczności publicznej, które powstały w tym okresie. Pojawiły się m.in.: szpitale miejskie (przy ulicy Kopernika i Obrońców Wybrzeża), nowy ratusz, starostwo powiatowe, budynki sądów, synagoga przy ulicy Niedziałkowskiego, bank słupski (BGŻ). Podjęto także, niezbędne inwestycje z zakresu gospodarki komunalnej. W 1862 roku oddano do eksploatacji gazownię, sieć wodociągową (stację pomp) wraz z kanalizacją sanitarną. Później miejską elektrownię o napędzie parowym i nowy zakład energetyczny, stadion 650-lecia (Hindenburg Kampfbahn). Na wielu planach zaznaczono też komunikację tramwajową, zaś na południowo-zachodnich obrzeżach terenów osiedlowych istniało lotnisko.

Kolejne plany przedstawiają Słupsk na przełomie lat 20. i 30. XX wieku: centrum miasta z 1928 roku wraz z numerami działek - z Archiwum Państwowego w Koszalinie oraz przechowywany także w tym archiwum drukowany, barwny plan Słupska Oskara Eulitza w skali 1:8000, na którym wyszczególniono m.in. budynki użyteczności publicznej, drogi wylotowe z miasta w kierunku Sławna, Lęborka, Ustki i Kobylnicy, linie kolejowe, tramwaje, stacje benzynowe (oznaczone literką T), parkingi samochodowe (literka P) itp. Ciekawostką jest mapa miasta Słupska z lat 1934/1935 wydana w serii wydawnictw firmy Schell, niemieckiego holdingu benzynowego. Obejmuje ona dworzec kolejowy, od wschodniej strony Osiedle Kaszubskie, północ to Słupia i stadion 650-lecia, zaś od południa widzimy na niej drogę wylotową w kierunku Poznania. W prawym dolnym rogu umieszczono opis do zaznaczonych na planie stacji benzynowych. I tak dowiadujemy się, że wówczas istniało w Słupsku sześć stacji benzynowych należących do Schella (Garncarska, Mickiewicza, Przemysłowa, Tuwima, Jaracza, Deotymy).

Na planach z lat 30. i 40. XX wieku pojawia się nowy model osiedli mieszkaniowych. Na ówczesnych przedmieściach (m.in. przy ulicach: Kochanowskiego, Jagiellońskiej, Kossaka, Malczewskiego, Leszczyńskiego, Batorego) powstało kilka osiedli jednorodzinnych. Budowano małe domy jednorodzinne oraz piętrowe, dwu- i czteromieszkaniowe z przydomowymi ogrodami. Przy ulicach Paderewskiego, Szymanowskiego i Rybackiej zbudowano pierwsze w Słupsku bloki mieszkalne typu klatkowego. W urbanistyce zaczęto realizację idei narodowosocjalistycznych w postaci budowy osiedli satelickich z sa-

modzielnym ośrodkiem usługowym (szkołą, placem manifestacji, kościołem, sklepami), z jednakowymi małymi bliźniaczymi i wolnostojącymi domami (ulice: Bolesława Chrobrego, Zygmunta Augusta, Łokietka, Chodkiewicza i wzdłuż ulicy Gdyńskiej). Ostatnim z planów przedstawiających niemiecki Stolp jest plan miasta z 1945 roku. Nie zawiera niestety nazwiska autora, obejmuje od zachodu dzisiejsze osiedle Jana III Sobieskiego, od wschodu miejską piaskownicę, koszary, natomiast od północy ujście Słupi, Osiedle Kaszubskie wraz ze stadionem 650-lecia. Arkusz planu jest w druku czarno-białym, w jego lewej części umieszczono opis położenia ulic i budynków, zaś z prawej strony wyjaśnienia cyfrowe dotyczące umieszczonych na planie obiektów.

Jednym z pierwszych powojennych planów Słupska (obejmował także najbliższe wsie podmiejskie: Ryczewo i Kobylnicę) jest projekt z 1947 roku wykonany w skali 1:8000. Na jego rysunku zaznaczono własność autochtonów i cudzoziemców oraz gmin kościelnych, wydzielono tereny osadnictwa miejskiego, obiekty sportowe, ogrody, ruiny, zieleńce i place, kąpieliska, kioski oraz dworzec kolejowy. Okolice rynku i Sądu wyszczególniono jako obszary w ruinie. Spalone budynki w centrum rozebrano i w latach 1958-1965 wzniesiono bloki mieszkalne, które nazwano osiedlem 20-lecia PRL. Do Słupska przyjeżdżali stosunkowo młodzi ludzie, których osiedlano w dużych mieszkaniach często po kilka rodzin. Po 1955 roku zaczęto dla nich budować zakładowe mieszkania. Zgodnie z określonymi kierunkami rozwoju miasta i jego potrzebami rozwijano przede wszystkim funkcję mieszkaniową i przemysłową. Powstały nowe zakłady przemysłowe i tereny składowe w skupisku północno-zachodnim oraz południowo-zachodnim od centrum. Na początku lat 60. wybudowano na obrzeżach kilka dużych zakładów przemysłowych (Alka, Kapena, Pomorzanka, Sezamor, Famarol, Słupskie Fabryki Mebli). Intensywny rozwój demograficzny oraz napływ ludności ze wsi związany z nowymi miejscami pracy w przemyśle dały impuls do tworzenia mieszkalnictwa spółdzielczego. W latach 70. i 80. XX wieku powstały blokowe, monotonne przestrzenie osiedli Zatorze i Piastów. Kolejne duże osiedle powstało pomiędzy ulicami Piłsudskiego a Szczecińską. Osiedle Budowniczych Polski Ludowej (potem Niepodległości) miało liczyć trzydzieści tysięcy mieszkańców, zbudowano budynki użyteczności publicznej (Bank PKO, Urząd Skarbowy), zapewniono też obiekty pod podstawowe usługi.

A Słupsk 2013? Powstały wielkie przestrzenie handlowe: Galeria Słupsk, Jantar, dokończono szpital wojewódzki oraz rozbudowano osiedle Westerplatte-Hubalczyków. Zakończono też rozpoczętą w 2008 roku budowę obwodnicy miasta.

**Krzysztof Skrzypiec, Słupsk**

Towarzysząc mentalnie i administracyjnie ludziom z różnego rodzaju niepełnosprawnością, zamieszkującym w gminie Smołdzino - ośmielałam się podzielić swoimi refleksami na temat pracy Środowiskowego Domu Samopomocy w Gardnie Wielkiej. W ostatnich kilkunastu latach nastąpiła duża zmiana w podejściu do niepełnosprawności. Z pewnością nie są spełniane jeszcze wszystkie oczekiwania, jednak życie takich osób (i ich rodzin) jest już łatwiejsze. W przeszłości, diagnoza: - niepełnosprawny, oznaczała życie w osamotnieniu i brak szansy rozwoju.

Cieszy coraz większe zainteresowanie społeczeństwa problemami ludzi niepełnosprawnych. Minął czas segregacji i czas izolacji - dzięki polityce „równych szans”. To budująca świadomość, wzmacniana co jakiś czas sukcesami polskich paraolimpijczyków, czy udziałem osób niepełnosprawnych w narciarstwie alpejskim. Są to jednak wyjątki, medialnie nagłościone, by ukazać heroizm takich osób. Prawdziwym i największym sukcesem ludzi z niepełnosprawnością - jest nieustanne pokonywanie przeszkód i ograniczeń w codziennym życiu. Dla niejednego z nas świat by się zawalił. Oni - z pokorą i wewnętrzną zgodą próbują dostrzegać radości z życia i pokonywać codzienne kłopoty. Dlatego uważam, że problem niepełnosprawności powinien być uwzględniany w planowaniu polityki społecznej już w środowisku lokalnym, to jest na poziomie gminy, a nie tylko na powiatowym, wojewódzkim czy krajowym.

Nasz Środowiskowy Dom Samopomocy zaczął funkcjonować w 2000 roku, za zgodą, aprobatą i dzięki funduszom



Fot. J. Maziejuk

## Są sukcesy naszej „pracy u podstaw”

*Od lat staram się spłacać dług jaki zaciągnęłam w tej gminie. Dziś czuję się pełnoprawną, zadowoloną zawodowo i społecznie jej mieszkanką*

dziennego pobytu, usytuowaną w strukturach Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej w Smołdzinie. Działalność naszą określa regulamin organizacyjny, zatwierdzony, korygowany i aktualizowany przez kierownika GOPS, p. Paulinę Kamińską, z której

nia 2010 roku. W tym właśnie celu opracowany został Program naprawczy na lata 2012 - 2014, przyjęty uchwałą Rady Gminy 28 grudnia 2011 roku i uwzględniający potrzeby naszych podopiecznych, a także oczekiwania pani wójt naszej gminy.

Pominę zawiłości organizacyjno - prawne i postaram się zainteresować naszą „pracą u podstaw”. Spośród siedemnastu uczestników - z tendencją zwykłą - większość codziennie dojeżdża samodzielnie do naszego domu autobusami liniowymi, często z przesiadką. Nasza placówka zapewnia finansowanie dojazdów: niektórym zwracamy za bilety miesięczne, inni sami kupują sobie bilety jednorazowe i rozliczamy je na bieżąco. Trudności komunikacyjne nie stanowią dla naszych podopiecznych bariery w dążeniu do bycia razem i korzystania z pomocy naszego domu. Przyjaźnie zaakceptowani stanowimy rodzinę. Czę-



Wydziału Polityki Społecznej Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku. Jesteśmy jednostką organizacyjną pomocy społecznej

pomocą staramy się też osiągnąć wszystkie standardy określone w Rozporządzeniu Ministra Pracy i Polityki Społecznej z 9 grud-

sto - jedyną. Ten wspólnie wypracowany sukces stwarza możliwości do dalszej działalności.

Zajęcia nasze dotyczą szeregu wielorakich tzw. treningów funkcjonowania w życiu codziennym. Mocną naszą stroną jest doradztwo psychologiczne. Porady udzielane są na bieżąco. Żeby nasi uczestnicy bez strat mogli dysponować swoim „małym budżetem” - konieczne jest nieustanne uwrażliwianie na zagrożenia. To bardzo ważna dziedzina wiedzy, która - często poprzez łatwowierność - narażać ich może na opłakane skutki. Dlatego utrwalamy w świadomości naszych uczestników wartość pieniądza, doskonalimy umiejętność i racjonalność samodzielnych zakupów, ostrzegamy przed niebezpieczeństwami zaciągania kredytów, niepłaceniem regularnie rachunków, podpisaniem umów bez przeczytania czy zrozumienia. Muszę stwierdzić, że nasi uczestnicy są szczególnie narażeni na tego rodzaju praktyki. Większość z powodzeniem posługuje się komputerem, potrafi korzystać z bankomatu, czy posługiwać się Internetem. Słowem - funkcjonują na miarę dzisiejszych czasów. I to jest to na czym nam zależy.

Inną naszą troską i powinnością jest realizacja pomocy w dostępie do niezbędnych świadczeń zdrowotnych. Informujemy o możliwości skorzystania z pomocy specjalistycznej. Wyjeżdżamy do Poradni Stomatologicznej, Poradni Neurologicznej, szpitalnego Oddziału Psychiatrycznego w Słupsku. Pozyskujemy cyklicznie dofinansowania do turnusów rehabilitacyjnych, które są prawdziwym „oknem na świat”, przygodą efektywną i efektywną.

Żeby czynić coś więcej, postanowiłam zostać radną. Tej pracy podjęłam się tylko w trosce o dobro osób niepełnosprawnych. Jestem osobą niezrzeszoną politycznie, niemniej znajomość „od podszewki” trudności ludzi z dysfunkcjami ruchowymi i psychicznymi umożliwiła mi pełnienie tej funkcji. Zobowiązuje teraz do ubiegania się o lepszy ich los. Mój bezpośredni kontakt z kierownikami GOPS, wójtem gminy, obecność na posiedzeniach Rady Gminy i wśród lokalnej społeczności - na zasadzie synergii czyni wspólne starania i ustalenia bardziej efektywnymi.

Na koniec chcę podzielić się jeszcze jedną refleksją. Kiedy przed laty zauroczona Słowińskim Parkiem Narodowym i gminą Smółdzino postanowiłam opuścić Głogów i zamieszkać w Gardnie Wielkiej - doświadczyłam wiele życzliwości i pomocy ze strony tutejszego środowiska. Tym bardziej, że tej pomocy potrzebowałam. Od lat ten dług wdzięczności staram się spłacać. Dziś czuję się pełnoprawną, zadowoloną zawodowo i społecznie mieszkanką tej gminy, a nasz Środowiskowy Dom Samopomocy w Gardnie Wielkiej - moim zdaniem - pretenduje już do bardziej nobilitującej placówki - Dziennego Centrum Aktywności Osób Niepełnosprawnych. Bo taką funkcję już spełnia.

**Maria Matczak, Gardna Wielka**

# Góry porzuc

*Na pytanie, dlaczego opuścić rodzinne strony, odpowiada słowami powszechnie znanej piosenki, podkreślając znaczenie refrenu:*

*A góral na góry spoziera  
I tży rękawem ociera,  
Bo góry porzucić trzeba,  
Dla chleba, panie dla chleba.*

Urodził się w 1932 roku w okolicy Białki, Nowego Targu, Zakopanego, dokładnie we wsi Gronków, rozciągającej się na przestrzeni pięciu kilometrów i mogącej stanowić przykład zabudowy łańcuchówki dolinnej. Niedawno dno doliny potoku Leśnica wyznaczało usytuowanie domów i budynków gospodarczych. Obecnie zabudowania wznoszą się na wysokość 580-650 m n.p.m., a poprzeczne pasy gruntów zwie się tu rolami.

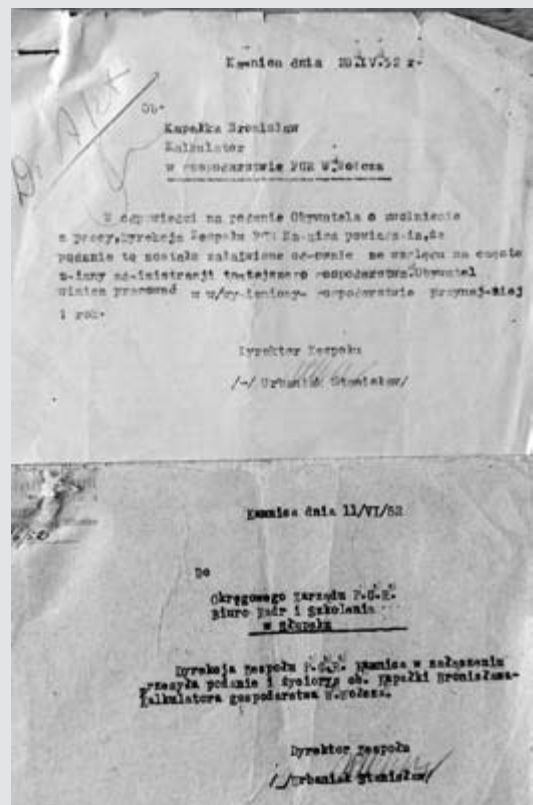
Niedaleko stąd do Słowacji, z którą przedwojenna Polska nie miała najlepszych stosunków politycznych z powodu korekty granic z Czechosłowacją w październiku 1938 roku, skutkującej włączeniem Jaworzyny oraz części Spiszu i Orawy w granice Polski. Republika Słowacka zgłaszała pretensje do tych terenów, a hitlerowskie Niemcy umiały ten konflikt wykorzystać. Słowacki atak na Polskę był jednym z elementów hitlerowskiego planu we wrześniu 1939 roku. Wojska słowackie dotarły do okolic Nowego Targu, Krynicy i Sanki, tracąc w sumie 29 zabitych lub zaginionych i biorąc do niewoli ok. 1350 jeńców polskich.

We wrześniu 1939 roku Niemcy zajęli szkołę w Białce, urządzili w niej wojskowy posterunek. Tym sposobem mały Broniek Kapałka, syn Jakuba, ze wsi Gronków pod Nowym Targiem został pozbawiony możliwości edukacji. Gdzieś tam organizowano potajemnie naukę dla dzieci, ale skończyło się na trzech klasach szkoły powszechnej.

Przez czas wojny rodzice i czterech braci Bronka żyli z kulkomorgowego gospodarstwa, pracowicie uprawiając ojcowe role, tak by starczyło na nałożone przez okupanta kontyngenty i własne potrzeby. Zwyczajowo gospodarstwo miał przejąć najstarszy syn Stanisław, urodzony w 1925 roku. Pozostali powinni szukać szczęścia w świecie.

\*\*\*

Wiosną 1949 roku, osiągnąwszy dojrzały wiek siedemnastu lat, Bronisław Ka-



pałka namówiony przez werbownika, z błogosławieństwem rodziców, opuścił rodzinny dom w Gronkowie i udał się w podróż koleją do Słupska, na Zachód, jak wówczas potocznie zastępowano miano Ziemi Odzyskanych. Celem miała być sezonowa praca w Kamnicy koło Miastka na poniemieckich ziemiach przejmowanych od wojsk radzieckich. Razem z Bronkiem wyzwanie podjęło dwudziestu chłopców z okolicy, z podobnych powodów, czyli dla chleba, panie dla chleba

- Pierwszą noc spędziliśmy w czerwono ceglanym budynku Słupskiego PUR (Państwowego Urzędu Repatriacyjnego) przy ulicy Dworcowej - wspomina Bronisław Kapałka. - Mimo zmęczenia podróżą nie mogłem usnąć, podobnie jak moi koledzy. Co nas czeka? - zastanawialiśmy się, rozmawiając do białego świtu. Docierały w nasze strony opowieści o nowych możliwościach. Teraz mieliśmy osobiście stawić czoła życiowym wyzwaniom.

Tymczasem od lutego 1949 roku powoli acz systematycznie wdrażano Ustawę z 1 stycznia 1949 roku o utworzeniu Państwowych Gospodarstw Rolnych na ziemi

# it dla chleba

administrowanej przez Państwowe Nieruchomości Ziemskie. W zachodnich województwach było to ponad połowę powierzchni wszystkich znajdujących się tam użytków rolnych.

„W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych do pracy w pegeerach kierowano przymusowo na „rehabilitację przez pracę” tak zwany margines społeczny. (...) Dodatkowo zasiedlano je także ludnością przesiedloną z kresów. Dlatego w pegeerach ukształtował się specyficzny typ społeczności. Nie była przywiązana ani do miejsca pracy, ani zamieszkania. Miała własną, odrębną w dużej mierze od reszty społeczeństwa, kulturę, obyczajowość, sposób i styl życia.”- pisze Sylwia Czubkowska w artykule „60 lat temu powstały pierwsze PGR-y”.

\*\*\*

Na młodych górali z Gronkowa i okolic czekała praca pod kierunkiem administratora Nieruchomości Ziemi w Kamnicy koło Miastka, pana Stanisława Urbaniaka. Stamtąd następnego dnia przyjechał po nich ciężarowy samochód i ruszyli do Kamnicy, Przeradzi, Miłocic, gdzie organizowały się państwowe gospodarstwa rolne, najczęściej w oparciu o wcześniej istniejące junkierskie majątki ziemskie.

- We wsiach mieszkali wielu Niemców, wydawało się, że w Kamnicy stanowią osiemdziesiąt procent mieszkańców - po latach konstatuje pan Bronisław. - Młodym to nie przeszkadzało, bawili się razem, pracowali, wreszcie żenili.

Henryk Markowski w pracy doktorskiej „O Wojewódzkim Oddziale Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Katowicach w latach 1945- 1951” pisze: „Od pierwszego spisu ludności z 1946 r. dysponujemy już systematycznie zbieranym materiałem statystycznym. Powszechny sumaryczny spis ludności wykazał wtedy, że na ziemiach północnych i zachodnich zamieszkiwało w dniu 14.02.1946 r. 5,022 mln mieszkańców, w tym 2,919 mln stanowiła ludność polska, zaś 2,076 mln to ludność niemiecka. Stosunek procentowy zaludnienia wykazanego przez spis z 14.02.1946 r. do przedwojennego wynosił 57 % (...). To właśnie wydziały werunkowe (podobnie jak wydziały osadnictwa) przynaglały władze państwowe do jak najszybszego nadania tytułów własności osadzonemu już repatriantom (co stało się faktem w 1947 roku). Uważano, że rozwiąże to większość problemów - m.in. tych związanych ze ściąganiem niesłusznych danin i podatków narzucanych osadnikom. Ponadto dzięki aktom własności pozycja osadników ulec mogła wzmocnieniu

w stosunku do ludności autochtonicznej oraz tych „elementów”, które odnosiły się niechętnie do problematyki osadnictwa. Niemniej istotnym było skoordynowanie działań różnych instytucji państwowych i samorządowych w zakresie osadnictwa, a także ukrócenie samowoli sołtysów i wójtów na ziemiach zachodnich.”

\*\*\*

Siedemnastoletni Bronisław Kapałka został włączony do składu komisji przejmującej poniemiecką ziemię od Rosjan. Chłopak zyskał zaufanie przewodniczącego komisji pana Urbaniaka i pozostał w Miłocicach do czasu służby wojskowej, czyli roku 1952. Kiedy spełnił obywatelski obowiązek wobec ojczyzny, wrócił pod skrzydła dawnego opiekuna i pracodawcy.



Fot. J. Maziejuk

Takim sposobem góralski syn wraść w pomorską małą ojczyznę, z nią wiązać swoją przyszłość, rzadko odwiedzając rodzinne strony.

Tym razem został skierowany do Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Wołczy, gdzie otrzymał posadę księgowego - kalkulatora. Do jego obowiązków należał obmiar pól stanowiących normę orki dla traktorzystów i wszelkie wyliczenia norm pracy. Orkę wykonywano traktorami marki Zetor oraz Lanz Bulldog.

- Normę obliczono na dwa hektary na dniówkę. Przodownicy, którzy przekroczyli normę i wyróżniali się w pracy, otrzymywali nagrody i dyplomy w czasie pierwszomajowych akademii, a ich zdjęcia umieszczano w gablotach prezentujących przodowników pracy - opowiada uśmiechając się pan Bronisław.

Równolegle z pracą myślał o konieczności uzupełnienia edukacji.

- To wcale nie było proste. Musiałem mieć zgodę przełożonego, a on przede wszystkim potrzebował robotników do pracy. Nawet słowa pierwszomajowej piosenki mobilizowały młodych, kiedy z zapalem śpiewali:

*i w dłoniach jak płomień robota się pali,  
bo naszym zadaniem budować socjalizm.*

- Udało się! - stwierdza z satysfakcją. Od 1954 roku pracował w Toczyniu, nie-wielkim folwarku gospodarstwa w Kamnicy. Mieszkał sam w opuszczonym kamnickim pałacu.

Niedaleko w Bobęcinie traktorzystą był krajan, z nim czasem wspominał góralskie życie. Z pozostałymi, razem z nim przybyłymi na Zachód, stracił kontakt. Codzienność po brzegi wypełniona obowiązkami nie pozostawiała czasu na spotkania towarzyskie. Żyli intensywnie, tu i teraz, budując z wiarą lepszy los dla siebie, i Polskę na Ziemiach Odzyskanych.

Czas wolny dzielił między naukę i spotkania z dziewczyną, Anną, gospodarską córką, z którą w 1956 roku zawarł związek małżeński. Młodzi zdecydowali się zamieszkać w Toczyniu w pegeerowskim bliźniaku.

Na Boże Narodzenie wybrali się do Gronkowa, do rodzinnego domu Kapałków. Annie wszystko wydało się nowe, dziwne, zaskakujące. Snop zboża w kacie, ziarna owsa pod sianem na wigilijnym stole, kolędnicy ze śmieciami i diabłem głośno śpiewający góralskie przyspiewki. Niektóre zwyczajnie nie były jej obce, a rodzina męza przyjęła ją życzliwie. Późniejszym wizytom towarzyszyła refleksja o zmianach, jakie zachodziły tam, w podhalańskich stronach i stagnacji, atmosferze zawieszenia i niepewności jutra na Zachodzie. Granica sposobu życia przebiegała gdzieś w okolicach Piły, i widoczna była w krajobrazie wsi i miasteczek. Oni wracali jednak do siebie,

normę obliczono na dwa hektary na dniówkę

bo jak inaczej nazywać ziemię, gdzie ma się swój - nieswój dom.

Niebawem urodził się pierworodny syn, jak na zamówienie, zamiast goździka - 8 marca 1958 roku. Przybyło obowiązków zawodowych i rodzinnych. Mimo to Bronisław Kapałka w 1961 roku otrzymał dyplom ukończenia technikum rolniczego. Otwierała się przed nim droga awansu. Najpierw został zastępcą dyrektora PGR w Wołczy. Zamieszkał z rodziną w dwurodzinnym domku z czerwonej cegły, w pobliżu kościoła. Dla jednych będzie to tylko opis topografii, dla innych symboliczny znak czasów. Mieszkali tam dwa lata i znów przeprowadzka, powrót do Miłocic, tym razem na stanowisko dyrektora zakładu. Nie było już dawnych pracowników, może dwie, trzy osoby.

Rodziny pegeerowskie migrowały z miejsca na miejsce w poszukiwaniu bądź lepszego mieszkania, bądź lepszych warunków życiowych. Jak wiele rodzin Kapałkowie marzyli o własnym mieszkaniu w mieście. Wnieśli tzw. wkład do spółdzielni mieszkaniowej i po latach oczekiwania otrzymali mieszkanie w bloku. Trzeba było podjąć decyzję. Pani Anna z dziećmi - synem i dwiema córkami - zamieszkała w Słupsku, pan Bronisław został w Miłocicach. Nie, nie, rodzina się nie rozpadła, rozstanie było wynikiem kalkulacji, aby miejskie mieszkanie nie przepadło.

Dzieci chodziły do słupskiej ósemki na Banacha, pani Anna pracowała najpierw w sklepie, później na taśmie w szwalni w Alce. Spotykali się w niedzielę. Jak długo można tak żyć? Nie była to dobra sytuacja: dwa domy, dzieci bez kontaktu z ojcem, na barkach matki codzienne sprawy wychowawcze, domowe i praca.

\*\*\*

W tym czasie miała miejsce kolejna reorganizacja zarządzania państwowymi gospodarstwami rolnymi. Od początku, czyli od lat pięćdziesiątych reorganizowano formy zarządzania gospodarstwami z nadzieją na sukces ekonomiczny. W latach pięćdziesiątych tworzone zespoły PGR, później przekształcano je w samodzielne gospodarstwa. W latach sześćdziesiątych powstawały pierwsze kombinaty PGR, a proces ten został zakończony w następnej dekadzie.

W latach siedemdziesiątych pegeery były ważnym elementem systemu, idealnie wpisywały się w strategię gigantomanii. Gospodarstwa były coraz większe, miały coraz więcej pracowników i według oficjalnej propagandy coraz więcej produkowały. Mijała zła sława, zastępowało ją przekonanie o potęgze. Wzorem było gospodarstwo w Manieczkach, chluba i duma państwa.

Reorganizacje, koncentracje nie zmieniły zasadniczo sytuacji ludzi. Mizerne płace rekompensowały wprowadzie gratyfikacje socjalne, ale były one jak pajęcza sieć. Obarczone funkcjami socjalnymi gospodarstwa prowadziły świetlice, przedszkola, czasem szkoły, stołówki, klubo-kawiarnie, dowoziły dzieci do szkół i przedszkoli, zaspokajały potrzeby mieszkaniowe i inne potrzeby socjalne robotników. Dlatego wyniki produkcyjne pozostawiały często wiele do życzenia. Istniały wprowadzie rentowne gospodarstwa, jednak większość korzystała z dotacji państwowych.

Edward Winiarski, dyrektor z Tymienia w wywiadzie dla Jerzego Lesiaka z „Głosu Pomorza” (74/1986) mówił: „W latach ubiegłych pegeery otrzymywały dotację na gospodarkę komunalną. Od 1 stycznia br. dotacja została zawieszona, koszty trzeba będzie pokrywać z pegeerowskiej kieszeni.”

„PGR-y upadły generalnie z przyczyn



wielu lat. Zmieniały się formy organizacyjne, przybywało sprzętu, ale terminy agrotechniczne się nie zmieniały.

Zamieszkał w oddalonym o trzydzieści kilometrów Cetyniu z całą rodziną, pozostawiając mieszkanie w Słupsku pod dobrą opieką. Stabilizacja na chwilę. Potem były Wielogłowy i Stacja Hodowli Roślin, gdzie zastały go przemiany ustrojowe.

\*\*\*

Dziś Bronisław Kapałka jest na emeryturze. Mieszka w podślupskim Redzikowie. Nie narzeka. Oglądamy razem stare albumy, w nich pozostał fotograficzny zapis dawnych zdarzeń. Udane dzieci usamodzielnili się, mają własne rodziny. Jest się czym pochwalić. Powinowactwo przez małżeństwo córki ze znaną rodziną oszczepników przynosi radość. Marcelina Witek, podobnie jak ojciec, czyli zięć Bronisława Kapałki, zdobywa najwyższe sportowe laury. Dwoje wnuków jest w kadrze narodowej babink-tonistów.

Pan Bronisław przekroczył osiemdziesiątkę. Mimo wieku jest człowiekiem pogodnym, sprawnym i czynnym. Góralskie geny, niełatwy los, z którym zwycięsko się zmierzył czy po prostu udana rodzina dają mu chęć do działania. Od 2005 roku jest członkiem zarządu spółdzielni mieszkaniowej w Redzikowie. W rozmowach z najbliższymi chętnie wraca do minionych lat. Wspomina ludzi - tych, którzy czas transformacji wykorzystali z pożytkiem dla siebie i tych, którzy pozostali na uboczu zmian.

„Mimo wysokiego bezrobocia ludzie żyjący na terenach popegeerowskich żyją skromnie, nie ma tam jednak znaczących enklaw reprodukcji się biedy i patologii. Problemem tych ludzi jest ograniczona struktura możliwości, fundowana przez makropolitykę (brak infrastruktury komunikacyjnej, lokalnych rynków zbytu). Powiat bytowski ma ujemne saldo migracji (-3,2 w 2005) tak jak podregion słupski (-2,1). Jest to tendencja przeciwna względem województwa pomorskiego, gdzie saldo migracji jest dodatnie (+0,5 w 2005). Najbardziej widocznym, choć liczbowo nieoszacowanym, faktem pozostają jednak zarobkowe migracje okresowe, odciskające piętno na życiu społecznym i gospodarczym powiatu.” - czytamy w Załączniku 2a do raportu z badań: „Rynki pracy na obszarach popegeerowskich”.

\*\*\*

Historia jednego życia, a odnajduję w niej opowieści wielu Pomorzan. Jest w tej pojedynczej opowieści wartość dodana: świadectwo, jak wiele zależy od nas samych, „kowali” własnego losu. Wyrwać się z kręgu niemocy, brać sprawy w swoje ręce, wykorzystać szansę - tego uczy historia chłopca gór, który został Pomorzaninem.

**Czesława Długoszek  
Objazda**

Fot. J. Maziejuk

finansowych. Kiedy państwowa kroplówka odpadła, zlikwidowano przywileje, dotacje, to PGR-y nie miały szans, żeby sprostać konkurencji rynkowej” - twierdzi internauta na forum Historycy.pl, a inny dodaje: „dotacje do PGR były mniejsze niż obecnie wypłacane zasiłki włącznie z dodatkami dla dzieci byłych pracowników PGR. A więc czy Polska prowadzi sensowną politykę gospodarczą?”

W wyniku kolejnej reorganizacji pan Bronisław został przeniesiony do pracy w Inspektoracie PGR w Miastku. Inspektora-towi temu podlegały gospodarstwa rolne w Poborowie, Cetyniu, Łubnie, wchodzące w skład kombinatu w Suchorzu. Robotę pan Bronisław znał od podszewki: ziemię, maszyny, ludzi. Pracował „w branży” od

# Wyróżniona

Danuta Sroka - dyrektorka Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku została finalistką ogólnopolskiego konkursu Stella Virium



Fot. J. Maziejuk

Danuta Sroka jest pierwszą słupszczanką, która dostała takiego wyróżnienia. Gala konkursu zorganizowanego przez Fundację Rozwoju Kwalifikacji Stella Virium odbyła się 6 czerwca w krakowskim Centrum Konferencyjnym Preston Centre. Skład Kapituły Konkursowej był imponujący: kapitan Krzysztof Baranowski, piosenkarka Monika Kuszyńska, polski przedsiębiorca Włodzimierz Leszczyński, amerykański przedsiębiorca John Lynch, prof. dr hab. Grażyna Praweńska-Skrzypek i menedżerka Maria Waliczek. Statuetki Stella Virium przyznano w trzech kategoriach: Biznes, Edukacja oraz Super Stella Virium. Do tej ostatniej nominowano Danutę Srokę. Jest to nagroda dedykowana niezwykłym, twórczym osobom, które przekraczając własne granice, czerpiąc z zasobów swojego potencjału, wzbogacają samych siebie, a swoim przykładem inspirować do działania innych ludzi. To obszar aktywności dla tych, którzy niejednokrotnie doświadczeni przez życie, nie poddali się jego wyrokowi i mimo pojawiających się trudności wciąż i nieustannie walczą, rozwijają się, realizują i budują jaśniejszą przy-

szłość opartą o reguły wypracowane wyłącznie przez siebie samych.

Do nagrody nominowano ludzi niezwykłych, szanowanych i wielokrotnie nagradzanych w swoich miejscowościach oraz w środowisku, w obszarze którego działają. Super statuetkę wręczono Janowi Arczewskiemu z Lublina, człowiekowi o wielkiej charyzmie, niezłomnemu, który każdego dnia zmagają się z kłopotami. Psycholog, wolontariusz, społecznik stworzył pierwszy w Polsce Telefon Zaufania dla Osób Niepełnosprawnych. Od wielu lat koordynuje prace wolontariuszy w Domu Opieki Społecznej i Środowiskowym Domu Samopomocy w Lublinie. Mimo choroby (od szóstego roku życia porusza się na wózku inwalidzkim), jest życzliwy i zawsze gotowy nieść pomoc innym. Wzruszające było wręczenie mu statuetki, nie mogąc nawet unieść uszkodzonej ręki, z uśmiechem odbierał ją, deklarując jed-

nocześnie chęć niesienia dalszej pomocy potrzebującym.

Danutę Srokę dostrzeżono jako szefową Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku, ekonomistkę, bibliotekoznawcę i pedagoga, inicjatorkę wielu projektów w obszarze kultury. Doceniono ją za trud wdrożenia wolontariatu, praktyk, staży i szkoleń dla młodych ludzi, za zainicjowanie procesu digitalizacji zbiorów regionalnych w ramach Bałtyckiej Biblioteki Cyfrowej i Społecznej Pracowni Digitalizacji, skupiających młodych wolontariuszy i seniorów oraz tworzenie klastra instytucji na rzecz projektu „Z biblioteką do kultury”. Podczas wystąpienia nominowanej zaprezentowano w tle jej zdjęcie z albumu „Fotografia chłopów pomorskich”. Pokazano dziewczynkę, która dzięki własnej ciężkiej pracy, nauce, wizji i umiejętnościom pokonywania przeciwności losu, wspięła się na wyżyny zawodowej kariery i przy tym pomaga jeszcze innym. Jej wypowiedź spotkała się z aplauzem publiczności..

Fundacja Rozwoju Kwalifikacji Stella Virium powstała, by wspierać i promować ideę nieustannego rozwoju. Jej koncepcja pojawiła się w wyniku nieustannej obserwacji zachodzących zmian i przeobrażeń w Polsce. Stanowi też swego rodzaju odpowiedź na zmiany zachodzące w obszarze społeczno-gospodarczym Polski. Wspiera oraz promuje idee uczenia się, rozwoju przez całe życie, kształtowania i promowania odpowiednich postaw. Realizuje swoje cele poprzez organizowanie kongresów, wykładów i spotkań, prace badawczo-rozwojowe. W tym roku ufundowała statuetki Stella Virium - Gwiazda Możliwości i zorganizowała konkurs wskazujący dobre przykłady i osoby, które potrafią w praktyce urzeczywistnić swoje życiowe wizje.

**Krzysztof Skrzypiec, Słupsk**



*Przybliżając to wielce zasłużone miasto, czuje się jego klimat i potęgę dawnej Rzeczypospolitej. Na każdym kroku Lublin przypomina, że to też miasto Unii, która powstała tu już przed wiekami, kiedy nikt nie myślał jeszcze o obecnej Unii Europejskiej*

# *Magiczne miasto Lublin*

Fot. W. Lipczyński



towe płótno olejne Jana Matejki „Unia Lubelska 1569 r.” Obraz należy do najlepszych dzieł tego malarza, za który odznaczony został w 1870 roku francuskim orderem Legii Honorowej. Kompozycja skupia uwagę na ceremonii zaprzysiężenia Unii w renesansowym wnętrzu Zamku Lubelskiego. Wartość historyczna obrazu jest nieoceniona, namalowany został w 1869 roku dla upamiętnienia 300. rocznicy pamiętnego wydarzenia i odegrał ważną rolę w umacnianiu świadomości narodowej w latach rozbiorów. Obecnie jest niezastąpiony w nauczaniu patriotyzmu i historii Polski.

Bazylika oo. Dominikanów jest jednym z najcenniejszych obiektów sakralnych w Polsce. W murach kościoła w 1569 roku, po podpisaniu Unii Lubelskiej, odprawiono nabożeństwo dziękczynne, w którym uczestniczył król Zygmunt August. Świątynia jest również sławna jako skarbnica relikwii Krzyża Świętego, jednych z największych na świecie. Zespół sakralny dominikanów jest też nielicznym zabytkiem, któremu przyznano znak dziedzictwa europejskiego.

W centrum miasta znajduje się Plac Litewski. Przekaz mówi o tradycji tego miejsca, na którym obozowała szlachta przybyła na obrady sejmu do Lublina, które się zakończyły podpisaniem słynnej Unii Polsko-Litewskiej. Na placu tym stoi pomnik upamiętniający to wydarzenie. Jest to obelisk z symboliczną płaskorzeźbą przedstawiającą Litwę i Polskę podające sobie dłonie na znak przymierza. Unia Lubelska była umową międzynarodową Królestwa Polskiego z Wielkim Księstwem Litewskim, zawarto ją 1 lipca 1569 roku. Określana jest jako unia realna, w odróżnieniu od poprzednich, wiążących oba państwa tylko osobą władcy. Warto o tych faktach przypominać nie tylko nam, Polakom, ale również naszym sąsiadom - Litwinom. Łączyła nas bowiem kiedyś wielka obopólna przyjaźń, udzielaliśmy sobie wzajemnej pomocy i mieliśmy wspólne plany.

Współcześnie Lublin był dwukrotnie stolicą Polski. W 1918 roku powstał tu Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej i przez kilka dni Lublin był stolicą kraju. Po drugiej wojnie światowej historia tego mia-

**L**ublin - stolica Polesia sprowadza nas dziś z kilku powodów, które mają dla Polski szczególne znaczenie. Jest to miasto związane z bogatą historią Jagiellonów, położone na trakcie z Krakowa na Litwę; w XVI wieku miały tu miejsce dwa wielkie wydarzenia, które później zadecydowały nie tylko o jego rozwoju. W 1569 roku zawarto w Lublinie Unię Polsko-Litewską. Tu powstał największy w owym czasie akt polityczny dający podstawy Rzeczypospolitej Dwojga Narodów. Były to czasy panowania króla Zygmunta Augusta. Dziewięć lat później król Stefan Batory ustanowił Lublin miejscem corocznych posiedzeń Trybunału Koronnego. Są to fakty o znaczeniu historycznym dla Polski, które obok usytuowania miasta na dogodnych szlakach handlowych, zdecydowały o jego rozwoju. Miasto posiada 700-letnią historię i szczyci się unikalnymi zabytkami w skali Polski i Europy. Pięknie położony Stary Lublin posiada średniowieczny układ przestrzenny ulic i zabudowy. Reprezentuje bogactwo zdobień wiekowych kamienic, które przetrwały do dziś i zachwycają swoją autentycznością. Szczególną uwagę zwraca renesansowa kamienica Konopniców przy rynku. Do zabytków w skali unikalnej należy też Kaplica

Trójcy Świętej i Wieża Trynitarzka. Ta pierwsza mieści się na Zamku Lubelskim. Jest to jeden z najcenniejszych zabytków sztuki średniowiecznej w Europie. Nadano mu znak dziedzictwa europejskiego. Wzniesiona została przez króla Kazimierza Wielkiego. Wnętrze jej zdobią unikalne ruskobizantyjskie freski ufundowane przez Władysława Jagiełłę. Przenikają się tu kultury wschodu i zachodu, bowiem świątynię tę przyozdabiają też wizerunki ojców kościoła prawosławnego.

Natomiast neogotycka Wieża Trynitarzka jest najwyższym zabytkowym punktem widokowym w Lublinie, ma czterdzieści metrów wysokości i widać z niej rozległą panoramę miasta. Nazwa budowli pochodzi od zakonu oo. Trynitarzy, którzy przebywali w pojezuickich zabudowaniach klasztornych. Obecnie w wieży tej mieści się Muzeum Archidiecezjalne, a na jej szczycie jest dzwonnica z największym lubelskim dzwonem. Na wytyczonym Jagiellońskim szlaku Unii Lubelskiej - od Zamku do Placu Litewskiego, wszystko co się spotyka, jest związane z Unią Lubelską i czasami I Rzeczypospolitej Dwojga Narodów. W Zamku w galerii malarskiej Muzeum Lubelskiego wystawiane jest oryginalne wielkoforma-

sta związana jest z wydarzeniami dnia 22 lipca 1944 roku, kiedy tu powołano Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (Komitet Lubelski) - pierwszy rząd, tzw. lubelski na ziemiach wyzwolonych przez Ar-

W 1944 roku została założona państwowa uczelnia - Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, który posiada jedenaście wydziałów i m.in. bogaty ogród botaniczny położony w dolinie i na zboczach rzeki



Fot. W. Lipczyński

mię Czerwoną. Został ogłoszony Manifest PKWN, który określał nowy porządek polityczny dla Polski. Lublin w tym czasie pełnił przez 164 dni rolę tymczasowej stolicy kraju, a zamek lubelski był kaźnią dla więzionych żołnierzy Armii Krajowej. Z tego okresu pochodzi anegdota, którą opowiadają mieszkańcy Lublina, o poprawności politycznej miejscowego aptekarza specjalizującego się w sprzedaży pijawek pomocnych dla chorych, leczących wszelkie objawy gorączki. Kiedy ukonstytuowała się nowa władza ludowa, farmaceuta w witrynie apteki wywiesił portrety przywódców, zapominając o istniejącym napisie „świeże pijawki”, które wczesnym rankiem mu dostarczono. Wynik był zatrważający - przysłała milicja i zaarrestowała aptekarza, który, mimo płaczu i prośby żony, przesiedział długo w więzieniu.

Współczesne oblicze Lublina jest związane z prężnym ośrodkiem przemysłowym, handlowym, naukowym i kulturalnym. Lublin jest stolicą województwa, największym miastem na Polesiu, liczącym 350 tysięcy mieszkańców i najważniejszym ośrodkiem akademickim na wschodzie Polski, w którym okresowo naukę pobiera 100 tysięcy studentów. Działają tu pięć uznanych uczelni publicznych, m.in. Katolicki Uniwersytet Lubelski i Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej. Działają też liczne wyższe uczelnie niepubliczne i centra kultury studenckiej. Najstarszą uczelnią jest założony w 1918 roku Uniwersytet Lubelski, który po roku 1928 zmienił nazwę na Katolicki Uniwersytet Lubelski. Obecna pełna jego nazwa to: Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II. Kształcą się na nim 16 tysięcy studentów na dziesięciu wydziałach o różnych specjalnościach, nie tylko teologicznych.

Czechówki, rozciągający się na powierzchni dwudziestu pięciu hektarów z 6,5 tysiącem gatunków i odmian roślin pochodzących ze wszystkich stron świata.

Teatr im. Juliusza Osterwy należy do najwybitniejszych placówek kulturalnych na Lubelszczyźnie i jest jednym z najstarszych w kraju, założono go 126 lat temu. Na jego scenie w okresie dwudziestolecia międzywojennego występowali: m.in.: Stefan Jaracz, Wiktoria Kawecka, Lucyna Mesal, Juliusz Osterwa, Ludwik i Irena Solscy. Po wyzwoleniu miasta, już 12 sierpnia 1944 roku aktorzy przebywający w czasie okupacji w Lublinie wspólnie przygotowali pierwszą po wojnie polską premierę. W późniejszym okresie w teatrze występowali: Zofia Kucówna, Wiesław Michnikowski, Henryk Bista, Jan Machulski, Stanisław Mikulski. Przedstawienia reżyserowali: Jan Kreczmar, Adam Hanuszkiewicz, Jan Świderski, Ignacy Gogolewski. Dziś oglądamy w nim plejadę lokalnych gwiazd w spektaklu „Komedia Teatralna” wg Bengta Ahlforsa, w reżyserii Grzegorza Kempinsky. Jest to komedia o prowincjonalnym teatryku, która pokazuje zakulisowe życie aktorów, ich próby ról oraz przygotowania do kolejnej premiery. Wyróżniają się Jolanta Rychłowska w roli Matyldy, dyrektora teatru

i reżysera oraz znany z ról telewizyjnych i filmowych Jerzy Rogalski - jako inspicjent Oskar. O samej sztuce Jan Rogalski mówi: „skarbnica teatralnych cytatów od Czechowa po Brechta, w teatrze najciekawsze jest nie to, co na scenie, ale to co za kulisami”. Lublin to zagłębie teatralne, są tu teatry alternatywne, kabarety często ulokowane w magicznych, zabytkowych kamienicach, na przykład Scena Plastyczna KUL, Scena inVito. Lubelska Filharmonia im. Henryka Wieniawskiego organizuje co trzy lata słynne Międzynarodowe Konkursy Skrzypków.

Przebywając w Lublinie trzeba spróbować kresowej regionalnej kuchni, a szczególnie pierogów lubelskich nadziewanych kaszą gryczaną, chrupiących cebularzy czy perlistego napoju warzonego na chmielu. W tradycyjnej kuchni lubelskiej podaje się wykwintne dania, goszczące dawniej na dworach arystokratów, jak i te skromniejsze, oparte na mące, ziemniakach, czy kapuście, które spożywano w dworach szlachty zaściankowej i pod wiejskimi strzechami. Jest to kraina miodu, mąki i kaszy, stąd pochodzi najwięcej produktów regionalnych znajdujących się na liście Ministerstwa Rolnictwa. Znajdują się na niej m.in. pierogi (rodzaj nadziewanego ciasta pieczonego w brytfannach), parowańce, racuchy i sękacze w podlaskiej odmianie. Jest też piwo regionalne „Perła” warzone na chmielu z ziemi lubelskiej i wodach źródłanych ze Zwierzynca.

Przybliżając to wielce zasłużone miasto, czuje się jego klimat i potęgę dawnej Rzeczypospolitej, która tutaj się narodziła. Na każdym kroku Lublin przypomina, że



Fot. W. Lipczyński

to miasto Unii, która powstała tu już przed wiekami, kiedy nikt nie myślał o obecnej Unii Europejskiej. Ten ulubiony gród przez Jagiellonów stał się symbolem związku obu państw jagiellońskiej monarchii. Dziś jest położony blisko granicy z Unią Europejską i stanowi pomost Europy Zachodniej zarówno z Ukrainą, jak i Białorusią. Najlepiej o Lublinie pisał Gustaw Herling-Grudziński: „To ostatnie kresowe miasto Rzeczypospolitej”.

**Włodzimierz Lipczyński, Słupsk**

współcześnie lublin był dwukrotnie stolicą polski

# Chopin na Majorce



Fot. Archiwum Autora

*Największa z wysp archipelagu Balearów kojarzy się z urlopowym klimatem południowego słońca i kąpielami w lazurowych wodach Morza Śródziemnego. I tak rzeczywiście jest. Majorka kryje jednak liczne tajemnice i niespodzianki, niektóre z polskim akcentem*

Jedynym portem lotniczym na wyspie jest Son Sant Joan, oddalony o około dziesięć kilometrów od Palmy (stolicy regionu). Latem obsługuje on do ośmiuset lotów dziennie, co czyni go jednym z najruchliwszych portów w Europie. W ciągu roku korzysta z niego ponad dwadzieścia milionów pasażerów. Dobra sieć dróg i niewielka powierzchnia wyspy umożliwiają dotarcie z lotniska do jej najdalszych zakątków w godzinę.

Jako pierwsi zajęli Majorkę Fenicjanie, którzy przybyli tu ze wschodnich części Morza Śródziemnego ok. 1000 roku p.n.e. Jednak to panujący po nich Grecy nadali wyspie nazwę Baleary od słowa ballein, czyli „strzelać z procy”. Nazwa nawiązuje do wprawnych procarzy walczących jako najemnicy w wojnach punickich w II i III w. p.n.e. Najlepsze lata rozwoju wyspy to czas panowania Rzymian. To oni sprowadzili na nią winorośl i drzewa oliwne, założyli obecną Alcudię i Palmę, a także wprowadzili chrześcijaństwo. Wyspa nie zaznała spokoju w kolejnych stuleciach. Najeżdżali ją m.in. Wandalowie, a w końcu wyznający islam Maurowie. Ci ostatni sprowadzili na wyspę pomarańcze, drzewa migdałowe, morele, wybudowali wiatraki i stworzyli systemy irygacyjne. Pod ich panowaniem Palma wyrosła na ważny port morski z łaźniami, latarniami ulicznymi i zakrytymi kanałami ściekowymi. Przez ostatnich tysiąc lat Majorka była świadkiem wielu kolejnych burzliwych wydarzeń, pirackich najeżdżów, politycznych przetargów. Jednak

pozostawmy historię. Dzisiejsza Majorka jest przykładem gwałtownego i zrównoważonego rozwoju turystyki. Władze dbają o to, by liczba i wygląd hoteli nie przyczyniały się do dewastacji środowiska naturalnego. Dzięki temu znajdują tu wiele atrakcji nie tylko „leniwi” wczasowicze, ale także na przykład ornitolodzy, którzy w rezerwach mają przez cały rok doskonałą okazję do obserwacji ptaków. Swój okres lęgowy spędza tu między innymi żołą, można wypatrzyć pleszkę, dzierzbę rudogłową, błotniaka stawowego, dudka i wiele innych gatunków.

Jeśli na trasie naszej podróży szukamy polskich śladów musimy udać się do położonego najwyżej na wyspie miasteczka Valldemossa. Miejsce to zyskało sławę dzięki George Sand, a dawny klasztor kartuzów La Cartoixa jest drugim najczęściej odwiedzanym miejscem na wyspie (po katedrze w Palmie). Stało się tak za sprawą pamiętników pisarki „Zima na Majorce”, w których zrelacjonowała pobyt jej i Fryderyka Chopina w Valldemossie. Miało to miejsce na przełomie 1838 i 1839 roku. Kochankowie wraz z dwójką dzieci Sand zajmowali spartańsko urządzone cele w klasztorze kartuzjańskim. Dziś można tam obejrzeć portrety, rękopisy i partytury, oraz inne pamiątki po słynnej parze. Nadzieja na uleczenie Chopina z gruźlicy okazała się jednak płonna. Podczas ich trzymiesięcznego pobytu na wyspie panowała wyjątkowo sroga zima z przenikliwymi wiatrami i ciągłymi ulewami. Chopin cierpiał w tym czasie nie tylko z powodu postępującej (i śmiertelnej w tamtych czasach) choroby. Mieszkańcy okradali gości, okazywali swoją wrogość z powodu choroby wielkiego kompozytora, a po powrocie z jednej z wycieczek Sand i Chopin ze smutkiem stwierdzili, że ich rzeczy zostały spalone. Nasz wielki rodak był na wyspie gościem niechcianym i mieszkańcy z ulgą odetchnęli po jego wyjeździe. Paradoxem jest fakt, że dziś krótki pobyt Chopina na Majorce nakręca turystyczną koniunkturę, a mieszkańcy szczycą się, że niegdyś ich przodkowie „gościli” sławną parę. Miłym zakończeniem zwiedzania klasztoru w Valldemossie jest blisko dwudziestominutowy koncert muzyki Chopina. Gwarantuje on ciekawe wrażenia z kolejnego miejsca, gdzie Polacy odcisnęli swój piękny ślad w historii Europy.

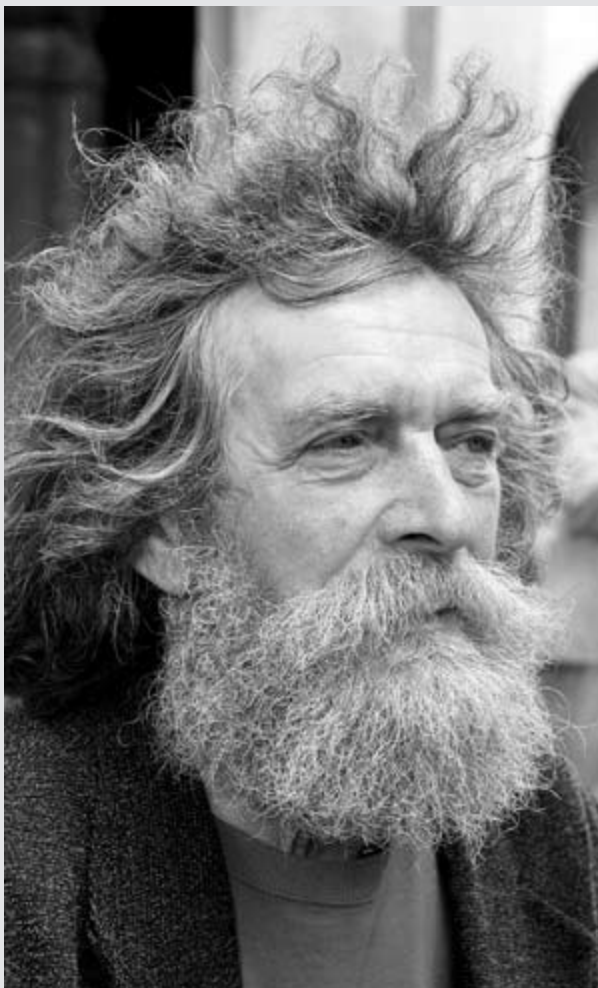
Przebywając na Majorce warto na jeden dzień pozostawić urokliwe plaże, by przeżyć ciekawą lekcję patriotyzmu w odległej Valldemossie.

**Piotr Sikorski, Słupsk**

*Byty artystyczne powstają w różnych miejscach, a tworzenie odbywa się adekwatnie do miejsca. Nasza część Europy to peryferie sztuki, rynek sztuki to właściwie ryneček, a artyści - amatorzy rynku z konieczności robią co się da, by się na nim utrzymać*

# Artysto, ach... gdzie Ty...

Artyści wychodzą na miasto (warszawska Praga), bo interesuje ich zwykły człowiek (!), już nie chcą obrażać widza, chcą go poznać, otrzeć się o niego i wytłumaczyć mu, że są takimi samymi ludźmi jak oni. Według jednych, artysta nie obraża, bo sam jest mieszczaninem jakich mało, a „człowieka z ludu” darzy uczuciem, bo ten nie zagraża jego pozycji. Według innych, brata się z „ludem”, bo chce sprawdzić czy to co robi, działa, czy jest to jeszcze sztuka. Jeśli nią nie jest, to oczywiście nikogo nie będzie obchodzić. Jeszcze inny powód, głębszy, tkwi w tym, że uliczna wystawa jest próbą wyjścia ze sztucznego świata galerii i muzeum w przestrzeń, w której za darmo przechadzają się wszyscy, wolni, autentyczni, a reakcjami nie muszą udowadniać dobrego wychowania czy szacunku dla sztuki. Trochę to pokrętnie, ale cyklu akcji artystycznych na ulicach i w sklepach na Pradze: a to sklepu z artykułami metalowymi z instalacją dźwiękową (z dźwiękiem powstającym przy obróbce metali), a to sklepu mięsnego z video o obżarstwie na monitorach, a to w zwykłej jadłodajni z aranżacją eleganckiej przestrzeni (święte stoły, obrusy, świeczniki, srebrna zastawa), dźwiękiem i video, a to koncertu rapera na podwórku z wizualizacją na murach. Mało? Może być sklep z działem mięsnym i ryczeniem krów, chrząkaniem świń, których pocięte kawałki wiszą obok na hakach, a wszystko inne leżące na półkach, w opakowaniach, to dalsza część instalacji staje się dzięki temu sztuką.



Fot. J. Maziejuk

Artyści bogatsi o praskie doświadczenia wolą większe ryzyko wynikające ze spotkania z przypadkowym odbiorcą ulicznego sklepowym (jak artysta w kostiumie koloru odrapanego muru stojący dwa dni pod tymże i polewany wodą dla sprawdzenia czy żyje lub obrzucany jajkami) niż pokazywanie najbardziej perwersyjnych (i takie bywają na porządku... wystawowym) instalacji w galeriach.

To co jest udane jako sztuka (z założenia) może być i często bywa kompletną klęską w kategoriach społecznych. Ale na przykład w Trójmieście, artystka odczuwa-

jąc po studiach zbędność form klasycznego rzeźbiarstwa, przestawiła się na działalność performatywną - zwraca się ku temu co się robi na co dzień, korzysta z prostych czynności dla nawiązania dialogu z publicznością, chce niwelować onieśmienie odbiorcy występując w roli z jaką widz może się identyfikować. Improwizuje więc kuchnię i obiera z ludźmi... ziemniaki, szydełkuje wielometrowy łuk tęczy, zakłada ogród między jezdniami, w stroju szermierza pojedynkuje się z białym płótnem, etc. Robi wszystko to, co odbierane jest jako przegięcia i wynaturzenie sztuki i inne niż formy akceptowalne dotąd: rzeźba, malarstwo, grafika, fotografia, film.

Inna szczecińska artystka po Akademii Sztuk Pięknych uprawia sztukę ze śmieci, bo wszystko może być materiałem twórczym - jest tanie. Materiały to PET-y, łańcuchy tektura, klawiatura komputera, elektrośmieci, itp. Ostatnio tworzyła z dziesiątek czy setek pasyjek cementarnych - Jezusków zdjętych z krzyży wyrzucanych do śmietników. Nowe wcielenia Jezusków (to złota chińszczyzna z plastiku) wzbogaciła o hantle, ekspander, skakanek, raketkę, basen i inne. I tak chłam i kicz dewocjonalny z łuszczącą się farbą na śmietniku zyskał nowy szacunek jako symbol religijny, zyskał drugie życie. Tu wypycha mi się pytanie (można je wykroić do innego tekstu), czy w dzisiejszych czasach Beatlesi nie byli, a grupa Mike'a Jaggera nie jest bardziej popularna od Jezusa, podobnie jak inne gwiazdy z firmamentu niebieskiego pop muzyki czy światowego show, super celebryci. Nawet przez piętnaście minut, o których Andy Warhol powiedział, że „...w czasach współczesnych każdy może posmakować i doświadczyć właśnie tyle czasu sławy...”

Lokalna artystka dla wzbogacenia własnych klimatów twórczych poszukuje pasjonata z muzyką grającą mu w sercu, niekoniecznie profesjonalnego muzyka. Amatora z bogatym wnętrzem i umiejętnościami zawodowca; no, no, zawodowiec promotorem amatora, to już coś, nawet jeśli to tylko zapotrzebowanie do projektu. To prawie tak jak lokalni mecenasi, ale... nie dla lokalnych twórców, nie wspominając amatorów, bo słyszę o atrakcyjnych dla wielu plenerach malarskich i aukcjach prac. W opinii ZPAP, to „...ruch w dobrą stronę...” dla osób, którzy próbują utrzymać się tylko z malowania czy rzeźbienia: bogaty mecenas organizuje plener, pomaga w sprzedaży, szkoda, że twórcy to już znane nazwiska ze środowisk bogatych artystycznie, na

przykład łódzkiego czy krakowskiego, a nie naszego rejonu pomorskiego, nie wspominając słupskiego. Nie zarobi na aukcji powiatowy malarz, bo nie zarobiłby mecenas - promowanie zbyt odważne jest ryzykowne.

Na pewno nie ryzykowała księżna Izabella Czartoryska czy księżna Radziwiłłowa - najbardziej interesujące arystokratki swej epoki - mecenaski Piotra Norblina, malarza, niestrudzone w gromadzeniu dzieł o dużej wartości artystycznej. Artystów przyjmowały chętnie, Ci odwiedzali rezydencje zostawiając swoje prace w zamian za gościnę. Nie te czasy?

Kontynuujemy tę formę gościnności w dzisiejszych parkach - Arkadiach, „kraiach szczęścia, spokoju i miłości” dla artystów i korzystamy z opieki i gościnności gospodarzy jak niegdyś Piotr Norblin i jego uczniowie Michał Płoński i Aleksander Orłowski. Napomknąć warto, że rysunki chat i zagród Płońskiego włączone są jako znaczące osiągnięcie dla polskiego pejzażu, a w ogóle ci malarze zajmowali się polską wsią.

### Jak tam emerycie...

Gdyby powrócić do konwencji owa-dziej ewolucji - motyli, nie wiadomo jaki motyl, którego gatunku wyklucze się z kokonu - kandydata na artystę amatora. Dojrzewający długo i budzący się do twórczego działania, to pewnie przeciętny okaz w wieku 50+, leciwy, no może czasem młodszy o 5 ÷ 10 lat. Nie jest to żadna złośliwość z mojej strony, bo przyglądam się grupom sfederowanym i osób poniżej czterdziestki nie dostrzegam. Nic się za tym zdrożnego nie kryje a świadczy jedynie o prawidłowości, którą nazywam upiększaniem sobie losu poprzez starszych, leciwych ludzi po pięćdziesiątce, są w sieci filozofii „trzeciego wieku”, „złotego wieku”, a tylko patrzeć jak wejdą do „klubu seniora”, uniwersytetu trzeciego wieku”, by lekko ślizgiem zacząć się na „dom spokojnej starości”.

Już w latach osiemdziesiątych znana była kwestia, że „starzy ludzie są w fazie łagodnego usuwania na ubocze, dano im na osłodę parę gadżetów i pewność, że nie umrą z głodu”. To wstydlivy problem. Immanuel Kant twierdził, że „...co prawda wraz z wiekiem narasta w człowieku siła sądzienia, za to maleje jego geniusz...”, ale wolę zdanie Platona (żył 2300 lat przed Kantem), a który napisał rozprawę o prawach, w której przeprowadza pochwałę starości, domagając się dla niej szczególnego uznania i autorytetu. Platon pisał rozprawę mając lat osiemdziesiąt, rok przed śmiercią. Arystoteles napisał swoją ostrą krytykę starości, gdy miał lat pięćdziesiąt, wskazywał na „intelektualną, moralną i towarzyską” degradację ludzi starych, dodam margines społeczeństwa w „wieku pomarszczonym”.

Jeśli mądrość życiowa ludzi podpowiada im, że nie ma bariery czasowej na

domaganie się akceptacji i pochwały, uznania i autorytetu, jeśli jeszcze mogą z siebie wyrzesać przygasającą iskrę Bożą, to do-brze. Jeśli artyści profesjonalni gonią za kasą, bo muszą, choć nie zawsze mogą, to artystom amatorskiego wyklucia, nawet jeśli nie zostawia śladów dla potomności, nie odbieramy złudzeń, że zajęcie się sztuką może wspomóc rentę, zasiłek, emeryturę, przynieść jakiś dochód. Dzieła, prace, pomysły i tak zweryfikują, jeśli nie rynek konsumencki, to projekty instytucjonalne, w których twórczość amatorska przeważnie się nie mieści, zwłaszcza nie rzucająca się w oczy czy odbiorców na kolana.

Mnie nie dziwi polski fenomen pisania wierszy, wytwory malarskie, rzeźbiarskie, muzyczne, etc. Ludzie wychodzą ze swojego wiejsko-miejskiego getta i środowiskowej pustki. Skromny tomik wierszy wydany własnym czy wspomóżonym sumptem przejmą znajomi i wnuki, obrazki ożywią ściany mieszkań. Problem jak ze wszystkim, nie tylko w sztuce, tyczy zachowania umiaru, właściwej miary, wyzbycia się grzechu pychy, poskromienia oczekiwań i próżności, rozumienia realiów. Jak zatem ma reagować twórca amator lub kandydat na takowego, gdy konsument rządzi dziełem, a jego pokazywanie tylko a nie zarabianie jest niezrozumiałą fanaberią autora?

Profesjonaliści dadzą sobie jakoś radę, mogą się sfederować w ZPAP. Tym liczyć na pomoc w zdobyciu prestiżu i przepustkę do prestiżowych salonów i galerii, wyrobią nazwisko. Amatorzy mogą liczyć wyłącznie na własne możliwości i doświadczenie życiowe, w tym dotyczące reklamy, handlu, transportu znajomości rynku i środowiskowych w GOK-ach, DK-ach, MOK-ach, etc. Te ostatnie mają, z zasady, własne samorządowe plany i... projekty i wolą sięgać po znane i modne nazwiska, które ściągają publikę na nośną imprezę bez żadnego ryzyka dla organizatorów i posądzenie o wydanie pieniędzy na nieudane eksperymenty prezentacji wątpliwej jakości dzieł babci Kowalskiej czy dziadka Kowalskiego.

### Artystom w duszy gra...

Zagadnienie twórczości i jej podejmowanie wynikające z różnych potrzeb, pozostaje od prawie trzech tysiącleci nadal nie w pełni rozpoznane. Wiąże się z nim nierozdzielnie pojęcie sztuki, a zastanawiając się nad jej przyszłością można stwierdzić, że będzie istniała tak długo, jak długo choć jeden człowiek będzie konieczności wyrażania podlegał i choć jeden człowiek - odbiorca będzie pragnął zaznać obrazu, tj. zaznać przepływu energii między dziełem a sobą.

Tak postrzegając, jak wyżej twórców profesjonalnych i amatorów, co najmniej jest dużym nietaktem kategoryzacja ludzi, protekcyjne ich traktowanie, wtłaczanie w takie ramy rynkowo-konsumencko-towarowe, na które nie zasługują. To nie

ten kontekst, który pozwala zrozumieć wewnętrzną osobowość twórcy, a tym bardziej to nie te rozróżnienia wobec twórczości, bo ta jest często i przeważnie tak bardzo przejmująca w swojej bezinteresowności, niemal modlitewnej szczerości i ekspresji, że podziąły na twórców i twórczości są jakimś uchybieniem wobec humanistyki w ogóle.

Kontekst tu należy rozumieć jako ogromny obszar różnorodnej ludzkiej działalności, twórczości artystycznej i naukowo-technicznej stanowiących historię kultury, sztuki, filozofii wierzeń religijnych i mitologii, nie wyłączając dziedzin nauko-



wych, jak socjologia, ekonomia, medycyna, itp. Jest to przestrzeń nieogarniona i nie do ogarnięcia nie tylko dla piszącego te słowa, nie tylko z powodu ogromnego zakresu tematycznego, różnorodności, ale również dlatego, że ryzykowną próbę wejścia w te problemy w ich wzajemnych relacjach podejmuje się z perspektywy własnego, zawodowego, nawet życiowego, a więc ograniczonego doświadczenia.

Należy mieć świadomość niestosowności i niewystarczalności używanych formuł i definicji wobec tajemnicy życia i tworzenia, którym jakże często towarzyszą ból, rozpacz, cierpienie, tęsknota, żal, nadzieja, radość, satysfakcja, duma. Definicje użyte dla opisu utworu artystycznego i w obliczu jego bardziej czy mniej przekonującej wyrazistości przeważnie błędą i tracą swe znaczenie.

Uważa się dość powszechnie, że nieważne kim artysta jest, ważna jest tylko jakość dzieła, które stworzył. To jest uogólnienie, z którym się trudno zgodzić. Osobowość wewnętrzna budowniczego czegośkolwiek, autora i twórcy zawsze okazuje się czymś konstruktywnym, niezbędnym pierwiastkiem budowy, tworzenia. Każda twórczość zawiera w sobie pewne charakterystyczne, symptomatyczne cechy, motywy,

elementy formy i rozwiązania kompozycyjne. Zostały one przez zbiektywizowaną naukę wyodrębnione, a także skodyfikowane, co jednakże jest niewystarczającą podstawą do, a przynajmniej nie powinno zawsze i bezwzględnie być podstawą, wartościowania utworów: rysunek, grafika, obraz, rzeźba wiersz nie odsłaniają wszystkich swoich tajemnic. Nie wolno gubić autora, twórcy i zrodzonego w nim ludzkiego przeżycia, przekonywającego autotematyzmu, pobudzającej i inspirującej naszą wyobraźnię szczerości myśli, rozumienia otoczenia i świata, wzruszającej surowości realizacji warsztatowej, zgrzebnosci środ-

abstrakcjonizm. Współczesna sztuka zaczęła unikać przedmiotowych przedstawień, uwalniać się od pokazywania rzeczy i postaci, a kształtowanie i organizowanie form wykorzystując głównie dla celów ekspresji. Nowymi składowymi w sztuce stało się zaniechanie artystycznej iluzji poprawności kompozycji, wprowadzając zasadę dekompozycji różnego stopnia, od lekkiego rozchwiania aż do całkowitego chaosu kompozycyjnego. Zrezygnowano z piękna, ładu, harmonii wprowadzając pożądaną, brzydotę, a z mistrzowskiego wykonania - celową „nieporadność” techniczną. Możliwość uprawiania sztuki stała się realna we-

osoby zaburzone określone jako artyści „wewnętrznej potrzeby”, całkowicie szczerzy, „naiwni” twórcy, „inni”.

Można stawiać pytania, gdzie leży granica między stanem zdrowia psychicznego a stanem choroby psychicznej, gdzie granica zdrowia i choroby? Jakie są granice „inności” jej kryteria, trwałość stanu „bycia innym”, czy bycie „innym” jest dla twórcy szczęściem, czy nieszczęściem prowadzącym do wzbogacenia, czy też zubożenia własnych możliwości twórczych? Czy można zostać „innym” na własne życzenie, na czas określony i dowolnie wybrany, po to by się wzbogacić o nowe doświadczenia?

Takie pragnienia wyrażało wielu twórców profesjonalnych, stosując u siebie środki halucynogenne, fascynując się możliwościami wywołania przy ich pomocy psychozy doświadczalnej, stanu „inności”. Szaleństwo dla niektórych stało się stanem pożądanym, wzbogacającym możliwości twórcze, pobudzającym fantazję, pozwalającym wyzwolić od komunałów artystycznych i estetycznych.

Na uwagę zasługuje fakt, że „chorzy” bez udziału swojej woli i twórczych poszukiwań stali się niejako prekursorami malarstwa współczesnego, a jednocześnie większość cech tego malarstwa można znaleźć w twórczości chorych na schizofrenię. Twórczość w zakresie stylów i kierunków można pomieścić w grupach podporządkowanym funkcjom myślenia, uczucia, wrażenia i intuicji, które idą w parze z naturalnym lekiem - próżnością i samouwielbieniem.

Cisną się pytania: jaka powinna być sztuka ta prawdziwa i kto jest artystą, tym prawdziwym? Myślę, że uczestnik sztuki niczym nie upiększanej, pierwotnej, samorodnej, nie poddającej się wpływowi presji społecznej, kultury, mody, w której motywach podejmowania i uprawiania nie występuje czynnik zainteresowania uznaniem i popłatnością.

Do jej powstawania najważniejszym jest impuls prowokujący do określenia w dziele własnego stanu wewnętrznego, co tworzy specyficzny zapis własnej wrażliwości, własnego stosunku do świata, rzeczywistości i samego siebie.

Nie ważne jest wykształcenie twórcy i jego uprzednie doświadczenia, środowisko z którego pochodzi. Cierpienie lub świadome cierpiętnictwo, podobnie jak wyobcowanie się z otoczenia, wyrzucenie na obrzeża życia społecznego czasem pomaga twórcy, czasem nie. Jest imperatywem do pracy lub nie, stąd nie uczestniczenie w życiu kulturalnym, nie poddawanie się wpływowi kultury narzucającej zachowania, rygoru i ograniczenia. Stąd też całkowita niezależność i wolność twórcza, wyzwolenie od potrzeby przestrzegania wzorców narzuconych przez kulturę, odrzucenie ich świadome lub nieświadome. Podobnie jak ucieczka od naśladownictwa, poszukiwa-



Fot. J. Maziejuk

ków, narzędzi i materiałów, często czytelną amatorskość.

Mamy zawsze, do wyboru opis słowny, krytyczny i ogląd, ale powinien zawsze przemawiać język obrazu. Zamiast opisywać lepiej nic nie mówić, tylko patrzeć, myśleć i po prostu przeżywać tajemnicę, misterium życia i sztuki. Można powątpiewać i tylko przypuszczać, że trafimy na nieoczekiwaną erupcję energii twórczej, a może utajony dotąd talent. Może zdarzyło się dzieło prawdziwe, bo tożsamy z autorem i nie w związku z emanacją jego duszy i wbrew jego dyspozycjom. Może zdarzył się uniwersalny znak skierowany na zewnątrz - to nie pusty znak, a świadectwo zagubionej tożsamości i osobowego rozedrgania. Wcześniej, wyżej tworzących określiłem jako amatorów, co rynkowo może mieć swoje uzasadnienie i na pewno komplikuje ich byt twórczy w otoczeniu społecznym, rynkowym.

Mimo woli wprowadzam się w temat bardziej skomplikowany, historycznie potwierdzony, funkcjonujący do dnia dzisiejszego. Już od końca XIX wieku w sztuce przedstawiającej, tematycznej, narracyjnej, zaczęto przeciwstawiać nowe kierunki: impresjonizm, kubizm, futurizm, nadrealizm, ekspresjonizm, konstruktywizm,

dług tezy J. Beuysa, że „...Każdy może być artystą...” i zrobiło się miejsce dla amatorszczyzny i rzekomych talentów pławiących się w świecie sztuki, manipulatorów marzeniami. Jednocześnie odkryto twórczość osób chorych. Do odkrycia sztuki nieprofesjonalnej dodano nową kolejną pozbawioną dotąd mecenatu i pozostającą jako zjawisko społecznie, nie liczące się - sztukę mniej lub bardziej świadomie cierpiących, którzy w akcie twórczym szukali pomocy dla siebie samych, traktując go jako środek przywracający im zaburzoną równowagę psychiczną. Świat sztuki „stanął na głowie”, chory artysta? Chory jeszcze na początku XX wieku, budzący sobą poczucie obcości, nieraz lęku i grozy ma być artystą?

Tak, bo chorzy to reprezentanci sztuki l'art brut - sztuki „surowej”, sztuki tzw. „nowej”, która stała się przedmiotem uwagi społecznej i badań nad jej stosunkiem do sztuki akademickiej i tradycyjnej sztuki ludowej, funkcją społeczną, stylem dzieł, typem świadomości artystycznej jej twórców. Twórców nazwano „malarzami gołębiego serca”, także „malarzami ludowych rzeczywistości”, neoprymitywistami, „malarzami niedzielными”, „dnia siódmego”, „naiwnymi”. Wielu spośród nich należy do twórców z pogranicza psychopatologii, to

nie własnych środków wyrażenia, odnajdowanie w nich prostoty i bezpośredniości. Ważna staje się wewnętrzna własna prawda i przeświadczenie o konieczności jej wyrażenia i to bez dbałości o odbiorcę, i o to czy i jak prace zostaną ocenione. Może być tak, że warunki życia i otoczenia i wiele różnych innych czynników powodują izolację społeczną, a tworzy się po to, by na własną rękę uwolnić się od niepewności, lęku, poczucia zagrożenia. A może uda się samo-spełnienie lub spełnienie roli posłanniczej, tak mimo woli, na przekór wszystkiemu i wszystkim.

Nie mam żadnej potrzeby udowadniania komukolwiek, że podnoszę jakiś nowy model widzenia twórczości i twórcy. To już było, w sztuce pokazano już wszystko lub prawie wszystko i nie mogą dziwić ruchy artystyczne zamarkowane na początku tego tekstu. Nawet świadomość tego, że obok rasowych artystów sztukę mogą kreować osoby kierunkowo niewykształcone, zdzieciniałe czy też chore psychicznie albo amatorzy z przypadku.

Pozostaje nadal prawda dnia dzisiejszego: artyści muszą trwać na „placu boju”, nawet jeśli jest i pogłębia się na nim nieszkodliwy wariat z interesującym przesłaniem. Według prof. Baumana - guru od kultury po Europejskim Kongresie Kultury we wrześniu 2011 roku rolę „państwa kulturalnego” zainteresowanego promowaniem i pobudzeniem kultury winno być doprowadzanie do spotkania artystów i jej publiczności oraz zapewnienie jego trwania.

To w takich właśnie spotkaniach są w naszych czasach poczynane sztuki - przychodzą na świat, rozwijają się i spełniają. Państwo i jego wszystkie ogniwa kulturoodpowiedzialne winny zachęcać do miejscowych oddolnych inicjatyw artystycznych i ze wszelkich miar je wspierać każdym sposobem, pilnie i konsekwentnie je subsydiować.

Jest oczywistością, że wołanie o nowe kulturowe wizje i pełne w nie angażowanie się z punktu widzenia wielu wysp inności i wielu horyzontów, wymaga rozróżniania kultury artystycznej (rozumianej jako myślowa rzeczywistość) od praktyki uczestnictwa (twórczo-odbiorczego lub odwrotnie) oraz instytucji, które umożliwiają to uczestnictwo. Istotą jest to, że polityka kulturalna winna dotyczyć uczestnictwa jako instytucji, a jej troską podstawową jest wyrównanie możliwości uczestnictwa.

Jakość i wyrównanie szans uczestnictwa, a więc odbiorcy są tu podmiotem, a nie treścią, formy ani stosunki „zarządów” z „ludźmi kultury” są punktem skupienia polityki kulturalnej. Tyle prof. Bauman opinii o „kulturze w płynnej nowoczesności” zasługującej na myślowe performance o eksperymentach wyznaczających nowe horyzonty, bo człowiek zmieniając wyobraźnię zmienia egzystencję.

**Czesław Guit, Lubuń**

# Ta wystawa prze

*Światowa wystawa The Human Body - „Ciało ludzkie” okresowo odwiedziła Gdańsk*



Fot. W. Lipczyński

Każdy zwiedzający odkrywa tajemnicę swojego ciała, a w podświadomości jest przekonany o cudownym organizmie i doskonałym jego funkcjonowaniu. Celem wystawy jest przybliżenie i unaocznienie w kolejnych salach tematycznych organów i układów oraz pokazanie funkcjonowania całego organizmu. Wystawa przedstawia układ kostny, mięśniowy, nerwowy, sercowo-naczyniowy, oddechowy, pokarmowy, rozrodczy i rozwój płodu. Przedstawia współpracę wszystkich układów w organizmie. Jej autorzy w kolejnych odsłonach przybliżają codzienne funkcjonowanie organizmu.

Na czym jeszcze polega atrakcyjność wystawy i jej niepowtarzalność? Modele zostały wykonane pod kierownictwem naukowym profesora dr. Sui Hongjin z Wydziału Anatomii Uniwersytetu Medycznego w Dalian (Chiny). To nie są zabalsamo-

wane mumie lub rekonstrukcje człowieka czy manekiny - atrapy, a są to oryginalne ludzkie ciała. Modele wykonane zostały specjalnie dla prezentacji. W zabezpieczeniu i konserwacji ludzkiego ciała osiągnięto szczytową formę. W wyniku wielu doświadczeń ostatecznie wykorzystano najnowszą zdobycz naukową - plastynację. W procesie tym z tkanek organizmu usuwa się wodę poprzez zanurzenie w acetonie, a następnie usuwa się aceton w komorze próżniowej. W ten sposób tkanki, w których wcześniej znajdował się aceton zostają jakby zaimpregnowane ciekłym polimerem. Następnie, twardniejąc zabezpieczają model przed gniciem, rozkładem. Metoda ta pozwala na uwiarygodnienie modelu całego ciała lub wybranego narządu czy tkanki. Uzyskany efekt zaskakuje pięknem, szczegółowością i staje się obiektem do badań.

# erasta naszą wyobraźnię

Wystawa, organizowana też w Krakowie, ma szersze ambicje niż tylko pokazanie ludzkich modeli. Stawia określone pytania dotyczące funkcjonowania naszego ciała. Zgodnie z tematyką otrzymujemy natychmiast odpowiedzi, z jednoczesną możliwością obserwacji funkcjonowania procesów, o jakie pytamy. Najciekawsze pytania dotyczą współpracy układów w organizmie. Czasem są banalne, na przykład typu: dlaczego nasze ciało się porusza, oddycha, trawi pokarm i regeneruje organizm? Całościowy temat wystawy to anatomia człowieka pozwalająca w naukowy sposób wyodrębnić różne części organizmu. W ten sposób zostaje przedstawione funkcjonowanie poszczególnych układów i organów od ogólnej prezentacji aż do najdrobniejszej szczegółowości. Wystawa zaspokaja ludzką ciekawość i zainteresowanie budową poszczególnych układów, ich funkcji i złożoności. Prezentuje około 200 plastyfikowanych eksponatów - całych ciał ludzkich lub pojedynczych narządów.

Każdy układ został zaprezentowany na odrębnych modelach ludzkiego ciała. Następnie na kolejnych eksponatach pokazano zdrowe narządy wchodzące w zakres układu, a także narządy w różnych stadiach chorobowych. Możemy zobaczyć między innymi jak wyglądają płuca palacza, rak piersi czy marskość wątroby. Dowiemy się, że układ kostny zbudowany jest z 206 kości, które są ze sobą połączone i stanowią 1/5 masy ciała. Bez kości człowiek byłby mieszaną mięśni i narządów leżących bezwładnie. Dzięki połączeniu kości i stawów tworzy się ruchomy układ, a nie statyczny. Układ mięśniowy to z kolei rozwinięcie i ruchome połączenie mięśni i kości szkieletu. Grupa 600 mięśni szkieletowych, zależnych od naszej woli, stanowi w przypadku mężczyzn 42 proc. masy ciała, a kobiet - 36 proc. Mięśnie są głównym czynnikiem decydującym o anatomii człowieka. Reagują na przekazy układu nerwowego, w powiązaniu z kośćmi wykonują czynności od ciężkich prac fizycznych do subtelnego mrugnięcia okiem czy przesunięcia pożywienia przez przewód pokarmowy.

Układ nerwowy można nazwać centrum dowodzenia organizmu. Składa się z trzech układów: ośrodkowego, obwodowego i autonomicznego. Ten system od-

powiada za wszelkie nasze świadome i nieświadome działania. Jest to najbardziej skomplikowany układ w ciele człowieka. Znajdujący się w kręgosłupie rdzeń kręgowy przesyła polecenia z mózgu do nerwów rdzeniowych. Przekazuje też do mózgu miliony impulsów pochodzących zarówno z wnętrza ciała, jak i otoczenia z prędkościami przekraczającymi 435 kilometrów na godzinę. Układ sercowo-naczyniowy tworzą naczynia organizmu połączone ze sobą w zamknięty rurek obwód, w którym krąży 5,4 litra krwi. Samo serce to potężny mięsień kierujący rozległą siecią tętnic, żył i naczyń włosowatych o długości 145 tysięcy kilometrów. W ten sposób zapewnia nieustanny obieg tlenu i składników odżywczych w organizmie. Każda kropla krwi przechodzi przez serce raz na 60 sekund. Aby tę czynność wykonać musi ono w ciągu doby wykonać 100 tysięcy uderzeń.

Układ oddechowy to wymiana gazu, dzięki której organizm pozyskuje życiodajny tlen. W ciągu minuty umożliwia on komórkom spożytkowanie magazynowanej w nich energii. Dorosły człowiek wy-

ka. Punktem centralnym tego układu jest żołądek, w którym mieści się od dwóch do trzech litrów dowolnego pożywienia.

Układ rozrodczy stanowi przedłużenie rodzaju ludzkiego. Rozmieszczenie narządów rozrodczych u kobiet jest inne niż u mężczyzn. Główne żeńskie organy rozrodcze - jajniki, jajowody, macica, szyjka macicy oraz pochwa są umieszczone bezpiecznie i głęboko w jamie miednicy. Męskie główne organy rozrodcze - prącie i jądra są umieszczone na zewnątrz jamy miednicy. Rozwój płodu można prześledzić na kolejnych ekspozycjach od momentu zapłodnienia poprzez kolejne miesiące ciąży. Ciekawostkę stanowią najnowsze badania, które stwierdzają, że płód uczy się dźwięku i rytmu języka będąc jeszcze w macicy.

Wystawa Human Body potwierdza też współczesnych naukowców i filozofów, że człowieczeństwo związane jest z wyjątkowym mózgiem człowieka, narządem, który z uwagi na swój rozmiar, zdolność do zapamiętywania, rozumowania i mówienia, odróżnia ludzi od pozostałych gatunków istot żywych. Mózg w tajemniczy sposób pozwala ludziom odczuwać emocje i



Fot. W. Lipczyński

konuje wtedy średnio 15, a niemowlę 40 wdechów.

Układ pokarmowy tworzy określony cykl energetyczny. Polega on na tym, że pożywienie jest rozkładane na przydatne składniki odżywcze. Następnie są one wchłaniane przez krwiobieg i rozprowadzane do każdej komórki organizmu. W ten sposób energia, która jest magazynowana w składnikach odżywczych jest wykorzystywana do funkcjonowania wszystkich układów znajdujących się w ciele człowie-

dokonywać wyboru. Wystawa ta przybliża wiedzę i uczy szacunku do ludzkiego ciała. Zaskakuje, pokazując doskonałe współdziałanie wszystkich układów i narządów, których budowa i funkcjonowanie stanowi najpiękniejsze arcydzieło stworzone przez naturę. Po jej obejrzeniu rodzi się refleksja na temat wartości zdrowego stylu życia i właściwych wyborów związanych z ochroną zdrowia.

**Włodzimierz Lipczyński**  
**Słupsk**

# Czy koń by się uśmieał?

Gniotąc już - nie telefon komórkowy, ale wyłącznie - parapet okienny, na ludzi patrzę z góry. (III piętro).

Z trudem teraz „zadzierają nosa”, bo ich „sny o potędze” się nie sprawdziły. Nie mogąc mnie zlokalizować, sprytnie wykorzystują echo odbite od pobliskiego bloku mieszkalnego.

Dźwięk wprawdzie dociera do nich z pewnym opóźnieniem, jednak to pikuś w porównaniu ze - zrozumieniem tego, co im „z góry” wygłaszam

Jeden ze znanych amerykańistów polskich trafnie (choć humorystycznie) zauważył, że są na świecie tylko dwa najbardziej amerykańskie kraje - USA i Polska. Teraz Amerykę mają u siebie na przykład: Coca-cola, Mallboro, McDonalds, czy karty kredytowe. Ich „Tarczą” obronną stała się „wolna amerykanka”, choć to raczej - „rosyjska ruletka”.

Mój kontakt z przyrodą odbywa się przez telewizyjne „Animals Planet” i „Eko-Radio”. Posiadam bowiem status skazanego na „areszt domowy”, z comiesięczną „wypiską”. Wszyscy (i od zawsze) mamy jednakowe prawa i obowiązki, tj. „prawo do życia” i „obowiązek śmierci”. Martwię się o przyszłość, dlatego odpowiada mi powiedzenie, że: co masz zrobić jutro - zjedz dzisiaj(!).



Fot. J. Maziejuk

„Pytasz mnie co w moim życiu jest rzeczą główną. Powiem ci. Śmierć i miłość - obydwie zarówno. Jednej się oczu modrych, drugiej - czarnych boję. To są me dwie miłości. I dwie śmierci moje”. (L. Staff). Mam czelność - i to od młodzieńczych lat - zaliczać się do poetów. Dzielę ich na dwie grupy: tych - co piszą, i tych - co czytają. Nie napisałem w życiu żadnego wiersza. Nie śmiałybym, szczególnie po zachwyceniu się geniuszami polskiej poezji. (Choćby szkolną lekturą). To wyłącznie moje zdanie. Mam przecież świadomość, że - jak twierdzą niektórzy - Pan Bóg najsprawiedliwiej rozdzielił ludziom rozum: każdy uważa, że ma go dosyć! Talentu też! (Samooszukiwanie się jest jedynym warunkiem, żeby nie zwariować od prawdy.)

Oczu modrych ani czarnych już się nie boję. Poza tym, nie można umierać dwa razy, skoro raz się umarło przez „oczy modre”. Pewnie dlatego skutecznie i taktownie omija mnie „służba zdrowia” - nie chcąc naruszyć mojej „nietykalności cielesnej”. Za swoje „lkarowe” wyobrażenie miłości wszelakiej - zostałem skazany na „dożywanie”, bez możliwości wcześniejszego ubiegania się o wolność. Wytraciłem już wszelkie nadzieje i marzenia, instynkty i popędy.

Mój czas przyszły, to „drewniany talerz”. Czekam - mówiąc inaczej - na wyrok, choć nie na sprawiedliwość. Myśląc „z kolei” tym „torem” (i nie czując się „wykolejony”) - jak „Pendolino” - śmigając mi myśli, że osiągnąłem wreszcie najwyższy stopień świadomości. Nie czuję się już mężczyzną, ale - obywatelem! Jeśli zdarzają się sporadyczne kontakty z kobietami, to tylko - wzrokowe. A więc już nie: „Bella, bella donna”, tylko „Ciao, ciao bambina”. (Co za ulga!). Okazuje się, że umiejętność życia polega na - umiejętności rezygnowania z tego życia.

Posiadając już stygmaty emeryta, jakimi są: siwy łeb, pionowe zmarszczki na czole, otwarty umysł i usta, worek wspomnień i koniec miłości - reanimuję się nadal śmiechem, wspomaganym owsianką. Krocząc w kieracie życia jak koń (który też lubi owies), uświadomiłem sobie kolejny już fenomen i paradoks jednocześnie. Obydwaj - rżymy, choć z różnych powodów. A wszystko przez - sieczkę! Wypełnia ona koniowi brzuch tylko, ale człowiekowi - głowę. („Choćbyś koniom cukier dawał, to nie weźmiesz ich na kawał.”) On stąpa pewnie na czterech nogach, człowiek - leży, i to na dwóch łopatkach. Jest Hiobem swojego czasu i Syzyfem jednocześnie. Załatwiają

ciągle jakieś sprawy, jak „Mali mieszczanie” J. Tuwima („Wstali, iżby. Chodzą, ażeby. / Oto cele. Oto potrzeby.”) - nawet we śnie są w kieracie projekcyjnym, bo nakarmieni są sieczką. Choć są dorośli, nadal wierzą w bajeczki dla grzecznych dzieci. (Bajka zaspakaja potrzebę porządku). Ludzi łączy tylko jedno: bogactwo albo bieda. Dla jednych jest - odzyskana „Korona” (wysadzana diamentami), dla drugich - „Koronka” (do Bożego Miłosierdzia).

Od konia - ideału piękna, wdzięku, gracji, pracowitości - człowiek nauczył się tylko „bić zadem” i „wierzczać”. Czasem - „brykać”. Rozumny koń przeszkadza przeszkody. Człowiek - „podskakuje”, i to bez uzasadnienia. (Czuając się wolny skąd ma wiedzieć, że wyżej „ptaszka” nie podskoczy?) Używając „psychozabawy” powiem, że każda kobieta i każdy mężczyzna podświadomie marzą, żeby jej partner, czy jego partnerka posiadali cechy charakteru, wdzięku i gracji tego zwierzęcia. Niestety, życie jest okrutnie sprawiedliwe. Ludzie najczęściej posiadają cechy charakteru innych zwierząt. Najczęściej - psa i kota. (O małpowaniu i świntuszeniu - nie wspomnę). To nie ja przecież zauważyłem obiegowe cechy: wredny jak pies, czy - fałszywy jak kot. (Żeby ukryć swoje kocie cechy - „odwraca kota ogonem” albo „warczy” szczerząc kły, jak wściekły pies.)

Koń zmęczony - odpocznie, człowiek - nie. Jest zbyt głupi. Z upodobaniem więc przypominę odwieczny podziw dla konia i szacunek: „weź pan łeb, bo koń głową uderzy” albo - „weź pan kulas, bo koń nogą nadepnie”. Bywało, że zachowanie i doświadczenia z końmi - mężczyźni (w podeszłym wieku) - żartobliwie przenosili na swoje zwyczaje. Nie zapinali rozporków twierdząc, że jak konik nie bryka - to się stajni nie zamyka! Poza tym słusznie zauważali, że każdy chce trochę świeżego powietrza!

Człowiek - rozumiany jako „Dyzio marzyciel” czy „Pomysłowy Dobromir” - musi realizować jakiś mit. Mit z kolei - żeby mógł istnieć - musi być prawdą! Jego prawdą. Najlepiej - z przynętą ideologiczną. (Nawet pułapka na myszy nie zadziała przecież bez kawałka sera). Nie mogąc uporządkować ziemskiego świata - prowadzi teraz „Gwiezdne Wojny”. (Ideologiczne). Stał się wojownikiem i rycerzem „Jedi” (czyt. Dżedaj), walczącym z „Ciemną Stroną Mocy”. Trudna to walka, bo przeciwnikiem jest „Lord Wader”, a lordowski tytuł ma - jak wiadomo - ogromne wpływy. Paradoks myślenia współcześnie mobilnej młodzieży - rycerzy Jedi - polega na tym, że kula ziemską obraca się i „ciemna strona mocy” staje się „jasną stroną mocy”. I tak - „w kółko Macieju”. Dwoistość natury ludzkiej jeszcze bardziej komplikuje to życie. Niestety - jednorazowe. Może więc szkoda raz darowanego czasu na spory typu: „jeden mówi - noc nadchodzi. Drugi mówi - dnieje. Tak zmarli obydwa Macieje”.

Lubiłem zawsze sensowne „Noce i dnie” M. Dąbrowskiej, gdzie praca na roli i przyroda - nadawała logikę życiu B. Niechcica. Ten był autentycznie szczęśliwy, bo ciężka z rolnictwem symbioza, jakiś egzystencjalny wysiłek, stanowiły - bez wątpienia - najpiękniejszą, bo pożyteczną modlitwę do Stwórcy! Nie przeszkadzało mu nawet kapryszenie żony - „Bogumił, Bogumił”, czy „Tomaszek, Tomaszek”, bo on ożenił się z miłości. (Ona - z rozsądku.) Współczesny „Bogumił” (po ślubie) też czuje się szczęśliwy, jakby wygrał milion w totolotka. Dopiero potem jest zaskoczony, że w żaden sposób nie może zobaczyć, ani odzyskać swojego wygranej.

A propos. Kiedy zapytałem prowokacyjnie kogoś mobilnego młodzieżowca (współczesnego „Tomaszka”), co to jest „Czarne Wesele” w Klukach - odpowiedział: to pięćdziesiąta rocznica pożycia małżeńskiego moich dziadków! Spotkałem go później na przedłużonych (z konieczności) wczasach „Pod gruszą” (posadzoną jeszcze przez dziadka). Jego „praca marzeń”, to zostać - testerem kulinarnym, negocjatorem społecznym lub - europoseł za sześć tysięcy euro miesięcznie! Ostatnio jednak zredukował swoje aspiracje. Jako zwolennik kapitalistycznej wolności do niedaw-

na - pragnie tylko „wsiaść do pociągu byle jakiego. (Bylejakiego!) Nie dbać o bagaż, nie dbać o bilet”. Nie chce nawet pojechać z rodziną na wyspę „RODOS” (tj. - Rodzinne Ogródki Działkowe Ogrodzone Siatką). Nie chce on już nic „kolonizować” państwowego. Marzy tylko o koloniach dla swoich dzieci, w których tak powszechnie kiedyś uczestniczył. Niestety, tylko on miał szczęście być „kolonistą”. I to - bezkarnym. (Też nim kiedyś byłem, dzięki temu podziwiałem cały kraj.)

Trudno jest pisać żartobliwie o sprawach poważnych. O tragicznych - nawet się nie godzi. Staram się zrozumieć człowieka nie tyle - co zrobił dobrego lub złego, co - kim jest w istocie. Poczytuje on sobie (w swej wygodnej interpretacji) na przykład klęskę - za zasługę, i odwrotnie. Okazuje się bowiem, że najwięcej o wojnie, jej okrucieństwach i politycznych powikłaniach - wiedzą współcześni „rycerze Jedi” i „niewierne Tomaszki”. Łatwiej im mówić - co wiedzą, niż to, czego - nie wiedzą. A przecież to „siódma woda po kisielu”, żeby nie powiedzieć - popłuczyny. W dodatku, nic z tego nie przeżyli. Na szczęście.

Dorastałem w traumie pierwszych lat powojennych. Do łez wzruszały nas okrucieństwa wojny relacjonowane przez urato-

## Jak oceniam pracę urzędu?

W trosce o stałe podnoszenie jakości pracy Starostwa Powiatowego w Słupsku w kolejnych wydaniach biuletynu „Powiat Słupski” drukujemy ankietę na temat pracy urzędu i zadowolenia mieszkańców powiatu z jego usług. Zachęcamy do wypełnienia poniższej anonimowej анкеты. Wśród wszystkich osób, które ją nadesłają i wypełnią oddzielnie, dołą-

czony do niej kupon, rozlosujemy rzeczowe upominki. Wszystkie spostrzeżenia, opinie, uwagi i wnioski zostaną przeanalizowane i posłużą do dalszego doskonalenia jakości pracy starostwa i usług publicznych oferowanych mieszkańcom powiatu.

Wypełnione ankietę i oddzielnie kupony biorące udział w losowaniu upominków można składać do oznaczonych napisem: „ANKIETA” i „KUPONY” skrzyniek w budynku Starostwa Powiatowego lub przesać drogą pocztową na adres: **Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14.** Ankietę można też wypełnić na stronie internetowej: **www.powiat.slupsk.pl**

Wypełnione ankietę i oddzielnie kupony biorące udział w losowaniu upominków można składać do oznaczonych napisem: „ANKIETA” i „KUPONY” skrzyniek w budynku Starostwa Powiatowego lub przesać drogą pocztową na adres: **Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14.** Ankietę można też wypełnić na stronie internetowej: **www.powiat.slupsk.pl**

## ANKIETA OCENY USŁUG ŚWIADCZONYCH PRZEZ STAROSTWO POWIATOWE W SŁUPSKU

1. Kiedy ostatnio załatwiał/a/ Pani/Pan sprawę w Starostwie Powiatowym w Słupsku?
2. Jak ocenia Pani/Pan sposób załatwienia sprawy, kompetencje urzędników itp.?
3. Jak ocenia Pan/Pani ogólnie poziom usług świadczonych przez starostwo?
4. Czy uważa Pani/Pan, że Starostwo Powiatowe jest instytucją przyjazną mieszkańcom powiatu słupskiego?
5. Co według Pani/Pana należałoby zmienić w funkcjonowaniu pracy starostwa?
6. Czy poruszanie się po budynku starostwa sprawiło Pani/Panu jakiegokolwiek trudności? Jeśli tak, to jakie?

Proszę odciąć kupon i przesać lub przekazać w oddzielnie zaklejonej kopercie

**KUPON UPRAWNIAJĄCY DO WZJĘCIA UDZIAŁU W LOSOWANIU UPOMINKU - NIESPODZIANKI W ZWIĄZKU Z WYRAŻENIEM OPINIÍ NA TEMAT PRACY STAROSTWA POWIATOWEGO W SŁUPSKU**

Imię i Nazwisko .....

Adres, na który należy przesać upominek .....

Wyrażam zgodę na wykorzystanie moich danych osobowych w celach związanych z losowaniem upominku.

(Data i podpis wypełniającego kupon)

wanych jakimś cudem - ofiary i świadków. „Krajobraz po bitwie” też był opłakany. Patriotyzmu nie musieliśmy się uczyć. („My ze spalonych wsi. My z głodujących miast” itd.) Wszyscy - także kosztem dzieci - na nowo budowali kraj. („Ojczyzna - to zbiorowy obowiązek” przecież!). Powszechny niedostatek wszystkiego nie przeszkadzał ludziom cieszyć się życiem bez wojny. Polskiego społeczeństwa - pracowitego, uczciwego i dotąd upokarzanego - nie interesowała polityka. Ludzie bali się tylko głodu, bycia nadal parobkami u właścicieli ziemskich, czy robotnikami u prywatnych fabrykantów niewiadomego pochodzenia (czyt. „Ziemia obiecana” Reymonta). Chcieli tylko mieć dach nad głową, poczucie bezpieczeństwa, jakieś zatrudnienie i możliwość powszechnego kształcenia dzieci. Praktyki religijne (nabożeństwa i sakramenty) też były elementem społecznego życia, choć Kościół nie był „oczkiem w głowie” w czasach PRL-u. Nie tak - jak w RP. Każdy też wiedział (bez względu na tamtą politykę), kto tę wojnę rozpoczął, kto ją zakończył i jakim ogromem ofiar.

Nikt jednak nie przypuszczał pod wpływami znajdują się później ci zmęczeni wojną ludzie. A pod którymi wpływami znajdują się po 1989 roku? (Ej „rycerze Jedi” i „niewierne Tomaszki”! Nie wieta, czy głupa palita? Tacy kiedyś byli „komuniści” w Polsce, jak wy dziś - „religijni”, nie licząc zdarzających się - zbydlaczonych postaw i zachowań. Takie jednak zdarzają się w każdym ustroju. Szkoda!)

Poszukiwanie prawdy zawsze jest zajęciem politycznym. Inna jest prawda antropologa, a inna teologa, inna ewolucji, a inna rewolucji, inna okupantów, a inna okupowanych, inna panów i parobków, pracodawcy i pracobiorcy, bogatego i biednego, czy młodego a starego. Prawdę ustala różna polityka, a więc - fikcja uprawdopodobniona. Czyli - „gdybanie”.

Współcześnie płatni „rycerze Jedi”, wspomagani przez „Tomaszków” skutecznie karmią „sieczką” najmłodsze pokolenie. Gloryfikując tylko jedną organizację w niepamięć skazali inne, liczniejsze ugrupowania i ludzi walczących z niemieckim, także sowieckim okupantem. Obrona Polski zawsze miała charakter ludowy!!! Ludzie ci nie wyjechali za granice kraju z podwiniętym ogonem. Cierpieli niemiłosiernie w każdej sytuacji, tym bardziej, że i Hitler i Stalin wcześniej już podzieliili między sobą swoje zbrodnicze wobec Polski i Polaków zamiary. Potencjalni sojusznicy z Zachodu także zawiedli. Wizja przyszłej ojczyzny i polityka dodatkowo zatracala istnienie tysięcy skołowanych i zagubionych tą polityką ludzi. Nawet po wyzwoleniu wzajemnie się zabijali. (Polityka historyczna od wieków zmienia się jak w kalejdoskopie.)

Bywa też prawda obiektywna, ale i subiektywna. Żywych i umarłych. Dzięki mądrej polityce gen. Władysława Sikor-

skiego, udało się wydostać z sowieckich łagrów także polskich jeńców wziętych do niewoli i utworzyć armię polską. Uratowało się przy tej okazji tysiące kobiet z dziećmi, także ubranych w polskie mundury, pomimo chłopięcego jeszcze wieku. Co tam uratowano cudem - uśmiercono w stolicy. (Gen. Anders też błędem nazwał wybuch powstania, że nie wspomnę innego ówczesnego gen., który nazwał je - dosadniej!) Ale czy umarli bezsensownie mogą wyrazić swój osąd? Osobiście do dziś dziękuję Stwórcy, że nie wybuchło powstanie na przykład w Krakowie (z symbolicznym uzbrojeniem). Nie zginęło więc kolejnych dwieście tysięcy niewinnych ludzi, którzy już za kilka miesięcy cieszyli się życiem. I miasto ocalało. (Zbliżona liczba zginęła po zrzuconiu bomby atomowej na Hiroszymę i Nagasaki, ale tam zginęli Japończycy, nie Amerykanie.) No cóż. I wtedy, i teraz cywile niektórzy wiedzą lepiej. Widać, generałowie od dawna nie są u nas w cenie. Na szczęście nie dorobiłem się w wojsku stopnia generała. Wyszkolono mnie tylko na dowódcę drużyny OTK (Obrony Terytorialnej Kraju). Wystarczy, by żyć honorowo.

Współcześni „bohaterowie czasu pokoku” („rycerze Jedi” i „Tomaszki”) też nie próżnują. (Najwięcej bohaterów jest zawsze po wojnie.) Czasu historycznego nie można już cofnąć ani naprawić, można go jednak jeszcze popsuć. Okazuje się, że barwy i kolory mają też wymiar polityczny, ekonomiczny, a nawet geograficzny. Skoro wcześniej były medale koloru marchewki, to obecnie mają kolor pietruszki. Polubiliśmy bowiem „włoszczyznę”, także „zieloną sałatę” z „pańskiego”, zagranicznego stołu. Pora już, by medale miały kolor wyłącznie ogólnonarodowy. Polski! Mentalnie i niezbytłalnie!

Kłopot w tym, że pomniki, łuki triumfalne i opracowania książkowe, nie dla idei są tworzone najczęściej, a dla sezonowych - triumfatorów. Zmieniają się więc ciągle od 1945 roku bohaterowie na pomnikach (od czerwonego po biały). Niezmienny jest tylko cokol, jak społeczeństwo polskie. Historia Polski - moim zdaniem - to historia fizycznej i rzeczywistej wierności ojczyźnie. Wszystkie inne interpretacje „głośniejszych” - to złudna prawda. (Polityka europejska i światowa, to także biznes psycho-terapeutyczny. Na przykład oddziaływanie kolorami.)

„Prawda nas wyzwoli”. Dawno już mnie wyzwoliła, bo będąc jej wielbicielem, nie mogę być przecież tylko wielbi-cielątkiem, oddalającym w niepamięć skrócone życie poległych w wojnie ojczyźnianej i cierpienia ocalałych. Proponuję w związku z tym - rozciągnąć głośnie ostatnio „Ustawę śmieciową” także na wszechobecną sieczkę polityczną i ideologiczną. Zastanawiam się też, czy „koń by się uśmieł”? Nie! Co najwyżej - parsksnął.

**Klemens Rudowski, Słupsk**

**D**o bitwy morskiej, stoczonej na przełomie maja i czerwca 1916 roku (nazwanej później przez Brytyjczyków „Jutlandzką”, a przez Niemców „Bitwą w Skagerraku”) doszło właściwie przypadkiem, po kilku miesiącach osobliwego mocowania się obu flot na wodach Morza Północnego. Dowództwu niemieckiemu zależało na wywabieniu z baz i zniszczeniu w akcji przynajmniej części brytyjskich sił głównych, co jego zdaniem poprawiłoby niekorzystną dla Niemiec sytuację strategiczną na tym obszarze.

Ogółem w największym starciu morskim I wojny światowej uczestniczyło dokładnie ćwierć tysiąca okrętów. Po stronie brytyjskiej było to 151 jednostek, w tym 28 dreadnotów i 9 krążowników liniowych. Po stronie niemieckiej - tylko 99 jednostek, w tym 22 pancerniki (16 dreadnotów i 6 predreadnotów) oraz 5 krążowników liniowych. Siłami brytyjskimi dowodził adm. Sir John R. Jellicoe (1859 - 1935), którego flaga powiewała z masztu pancernika „Iron Duke”, dowodzonego przez kmrda F. C. Dreyera. Siłami niemieckimi dowodził wiceadm. Reinhard Scheer (1863 - 1928), którego flaga powiewała z masztu pancernika „Friedrich der Grosse”, dowodzonego przez kmrda T. Fuchsa. Na uwagę zasługują także obaj admirałowie, dowodzący zespołami krążowników liniowych obu stron. Po stronie brytyjskiej „Wielkimi Kotami” dowodził z pokładu „Liona” wiceadm. Sir David Beatty (1871 - 1936). Po stronie niemieckiej krążownikami liniowymi dowodził z pokładu „Lützowa” kontradm. Franz R. von Hipper (1863 - 1932). Dowódcami flagowych krążowników liniowych obu flot byli komandorzy Chatfield i Harder.

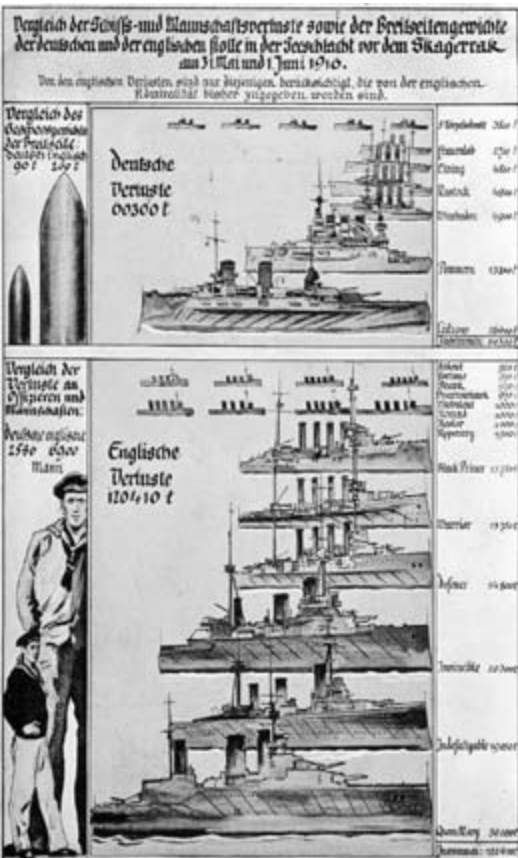
W bitwie spotkali się (dowodząc torpedowcami) dwaj oficerowie, którzy dwadzieścia pięć lat później mieli ponownie stanąć naprzeciw siebie, tym razem na pomostach pancerników „King George V” i „Bismarck”: John C. Tovey (1885 - 1971) i Günther Lütjens (1889 - 1941). Żaden z obu dowódców brytyjskich, mimo zamierzeń, nie został patronem pancernika RN. Okręty typu „King George V”, które miały otrzymać imiona obu oficerów, ponazywano ostatecznie inaczej („Jellicoe” został „Ansonem”, a „Beatty” otrzymał nazwę „Howe”). Za to Niemcy w latach międzywojennych nadali imiona obu swoich admirałów okrętom: drugiemu z trzech tzw. „kieszonkowych” pancerników i pierwszemu z planowanej serii ciężkich krążowników.

Adm Sir Jellicoe miał za to za sobą dramatyczny epizod - ocalał mianowicie, jako jeden z nielicznych, ze słynnej i tragicznej katastrofy pancernika „Victoria”, starowanego w czerwcu 1893 roku podczas manewrów na Morzu Śródziemnym przez HMS „Camperdown”.

„Katalizatorem” łańcucha wydarzeń stał się niechcący pewien niewielki duński parowiec, który został dostrzeżony 31 maja w godzinach popołudniowych przez obser-

*Zazwyczaj bitwę toczy dwóch przeciwników, tymczasem wiceadmirał Scheer bardzo zręcznie uszedł z pola walki, gdy tylko zdał sobie sprawę z tarapatów, w jakich się znalazł*

# Morskie starcie gigantów



watorów z niemieckiego lekkiego krążownika „Elbing” ze składu sił osłaniających okręty kontradm. Hippera. Zamieszanie wokół „duńczyka” nie uszło z kolei uwadze obserwatorów brytyjskiego lekkiego krążownika „Galatea”, jednego z okrętów sił osłaniających „Wielkie Koty” wiceadm. Beatty’ego. Tak zaczęła się Bitwa Jutlandzka - największe podówczas starcie flot w dziejach świata.

Do bitwy doprowadziła przede wszystkim zła widzialność - ona też miała zasadniczy wpływ na przebieg tego starcia. Drednot okazał się po raz kolejny bronią dobrej pogody. Twierdząc, iż jedynie zła pogoda pozbawiła ich szans na „nowy Trafalgar”, Brytyjczycy popełnili podwójny błąd: zapomnieli o tym, że powinni byli spodziewać się ujęcia Niemców z placu boju przy pierwszej nadarzącej się ku temu okazji oraz o tym, że gdyby widzialność była lepsza, to Niemcy w ogóle nie przystąpiliby do akcji.

Na pewno nie był to (bo i nie mógł być) „drugi Trafalgar”. Koło Trafalgaru przed z górą stu laty walczone przy dobrej pogodzie, a przeciwnik był przygotowany

do boju. W rejonie Jutlandu przeciwnie: wychodząc na morze, Hochseeflotte wcale nie zamierzała staczać boju z całą Grand Fleet, a jedynie nieco uszczuplić ją liczebnie. Zazwyczaj bitwę toczy dwóch przeciwników, tymczasem wiceadm. Scheer bardzo zręcznie uszedł z pola walki, gdy tylko zdał sobie sprawę z tarapatów, w jakich się znalazł. Wiceadm. Jellicoe miał swoje pięć minut, gdy jego przeciwnik pomylił się po pierwszym zwrocie bojowym i Hochseeflotte znalazła się w pewnej chwili przed lufami brytyjskich dział, niczym przed plutonem egzekucyjnym, ale będąc mniejszą liczebnie i łatwiejszą w manewrowaniu - zdołała ująć przed nieco ociężałą w swoich ruchach Grand Fleet.

Najbardziej niebezpieczny dla Grand Fleet był moment, gdy kontrtorpedowce niemieckie, osłaniające drugi zwrot bojowy Hochseeflotte, wykonały atak torpedowy. Trzyście okrętów niemieckich miało w sumie pięćdziesiąt osiem torped; wystrzelono jedynie trzydzieści jeden, z czego co najmniej dziesięć dotarło do brytyjskiej linii. Na szczęście dla Brytyjczyków żadna z nich nie trafiła. Dwie torpedy przeszły niedaleko od drednota „Marlborough”: jedna przed dziobem, druga za rufą. Trzecia torpeda przeszła dokładnie pod okrętem. Wspomniany drednot został ledwie pół godziny wcześniej trafiony inną torpedą, wystrzeloną prawdopodobnie z niemieckiego krążownika „Wiesbaden”.

Kto zwyciężył w tej bitwie? Jeśli weźmiemy pod uwagę poniesione ofiary i straty, to zwycięstwo należy przyznać Niemcom. Grand Fleet straciła trzy krążowniki liniowe i trzy pancerne oraz osiem kontr- i torpedowców. Zginęło na nich aż 6097 oficerów, podoficerów i marynarzy (spośród 60 tys.). Hochseeflotte straciła jeden predrednot, jeden krążownik liniowy (ciężko uszkodzony „Lützow”, który musiano opuścić i dobić torpedami), cztery lekkie krążowniki oraz pięć kontr- i torpedowców. Jej straty w ludziach to tylko 2551 oficerów, podoficerów i marynarzy (z 36 tys.).

Cóż to jednak znaczy - „zwycięstwo”? Rankiem 1 czerwca to Grand Fleet pozostała na placu boju, rozgrzana i gotowa do akcji. Spośród krążowników liniowych Hochseeflotte jedynie „Moltke” nadawał się jeszcze do akcji. Sławny „Von der Tann” utracił całą ciężką artylerię. „Derfflinger” i „Sey-

dlitz” nie zatonęły jedynie dzięki wspaniałemu systemowi grodzi wodoszczelnych i sprawności drużyn przeciwwawaryjnych; oba okręty dowlokły się do bazy z pokładami omywanymi przez fale. Drednoty „König”, „Markgraf” i „Grosser Kurfürst” wymagały długotrwałych napraw; flocie niemieckiej pozostało tylko sześć krążowników wobec trzydziestu brytyjskich.

Jednak po bitwie to Brytyjczycy mieli znacznie więcej do zrobienia, niż Niemcy. Przede wszystkim musieli poprawić ochronę komór amunicyjnych swoich okrętów przed eksplozjami. Nie poszło im to najlepiej, o czym już niedługo zaświadczyć miały kolejne eksplozje na brytyjskich okrętach liniowych w następnej wojnie światowej - by wymienić tylko dwa utracone w ten sposób pancerniki - HMS „Royal Oak” w 1939 i HMS „Barham” w 1941 roku. Wiele do życzenia pozostawiały też brytyjskie pociski, które - przy uderzeniu w cel pod kątem mniejszym, niż 90 stopni - zwyczajnie pękały, zamiast przebijać pancerze wrogich okrętów. Z drugiej strony celność brytyjskiego ognia podczas całej bitwy poprawiała się, zaś niemieckiego - słabła.

Bitwa Jutlandzka, w której aż trzy krążowniki liniowe Grand Fleet wyleciały w powietrze, zrodziła szereg mitów, między innymi ten o niedostatkach w opancerzeniu brytyjskich jednostek liniowych. Tymczasem krążowniki liniowe zginęły nie tyle wskutek bezpośrednich trafień wrogich pocisków w komory amunicyjne, ile po dotarciu do nich pożarów, wywołanych trafieniami w inne miejsca.

Bez porównania słabsza liczebnie Hochseeflotte odniosła w bitwie w Skagerraku swoje małe, nie tylko taktyczne zwycięstwo: nie zniknęła z powierzchni morza, pozostała zagrożeniem dla przeciwnika, osłaniając stawiące min i flotyllę torpedowców oraz utrzymując na dystans linie blokady brytyjskiej. Jak długo flota niemiecka istniała jako siła nie do pogardzenia, chroniąca bazy U-Bootów na Morzu Północnym przed zablokowaniem ich przez przeciwnika, tak długo Brytyjczycy nie wazyli się pozbawiać Grand Fleet osłony kontrtorpedowców, jedynego środka walki z nieograniczoną ofensywą najsukcesyjniejszej ze wszystkich niemieckich broni morskich (okrętów podwodnych) w latach 1917- 1918.

**Wojciech M. Wachniewski, Słupsk**

# „Galeria” Kazimierza Nowosielskiego

Do książek - przewodników po współczesnej kulturze zaliczam kilka publikacji prof. Kazimierza Nowosielskiego z Gdańska. Wśród nich szczególnie cenię „Galerię”, będącą - jak wskazuje podtytuł - zborem esejów „O wybranych malarzach i malarstwie współczesnym”



**D**la autora, poety i eseisty, „malarstwo to nade wszystko unaocznienie, za pomocą kształtów i barw, ludzkiego zdumienia niewyczerpalną realnością oraz tajemnicą życia”. Publikacja przedstawia sylwetki ponad trzydziestu malarzy, w tym „pięknej plejady” kapistów - dzięki wnikliwej malarzkiej i semantycznej analizie ich dzieł. „Sztukę tej generacji - pisze autor „Galerii” - cechowała niechęć do tzw. „wielkich tematów”, do akademickiej konturowości, egzystencjalnego patosu i postmodernistycznego stylizatorstwa”. W warstwie tematycznej zrezygnowali z Grottgerowej „obolałej ojczyzny”, w wyrazie malarzkim dominantą był kolor

- przejmujący znaczenia estetyczne i metafizyczne.

W „Galerii” eseistycznej interpretacji poddane zostały „Dziewczynki” Artura Nacht-Samborskiego - najwybitniejszego z kapistów, „Klaun” Zygmunta Karolaka - wyrażającego najpełniej wspólną dla pokolenia pasję życia i pasję koloru, „Autoportret” Józefa Czapskiego oraz prace innych malarzy.

W 2000 roku w Pałacu Opatów w Oliwie przygotowana została duża wystawa malarstwa Józefa Czapskiego. Na plakacie i okładce albumu wystawowego umieszczono „Autoportret”. Esej o „Autoportrecie” Józefa Czapskiego jest pretekstem, prócz rzeczowej, niezwykle sumiennej analizy dzieła malarzkiego, do rozważań o sposobach budowania artystycznej autoświadomości, do zapytania o prawdę samego siebie.

Józef Czapski jako jeden z „Komitetu Paryskiego”, którego skrót (KP) dał początek nazwie formacji kapistów, przeczuł i był świadkiem upadku wartości humanistycznych, czemu dał wyraz w formie literackiej w dokumencie „Na nieludzkiej ziemi” oraz w pracach malarzkich, poszukując odpowiedniego wyrazu. „U niego ludzie oraz przedmioty wyłaniają się zza kadru, jakby niegotowe do pełnego, estetycznego, pięknego istnienia”.

Najpierw Kazimierz Nowosielski przywołuje najbardziej znane w malarstwie autoportrety: Albrechta Dürera, Antona van Dycka, Rembrandta van Rijana oraz współczesnego polskiego grafika z Krakowa - Jerzego Panka, który przez dziesiątki lat wysyłał swoje „listy gończe” - serie ekspresyj-

nych, zdumiewających swą ikoniczną skrótością autoportretów”.

„Autoportret” Józefa Czapskiego powstał prawdopodobnie około 1949 roku. Niewielkie płótno o wymiarach 41x33 cm malarz nasycił „mało atrakcyjnymi pod względem semantycznym przedmiotami” - pisze autor eseju - wśród których twarz została autokarykaturalnie wydłużona przez przewagę elementów wertykalnych, zyskując gotycki ryt. Spojrzenie znad blejtramu, wzmocnione ciemną oprawą okularów, mających siłę lornetki, uniemożliwia „wypadnięcie czegokolwiek z pola możliwych i rzeczywistych rozpoznai patrzącego.” Wszystko wzmacniają wzniesione brwi - zatrzymujące przeżycie tego „co w duszy” oraz malarzkiej przestrzeni. Obraz utrzymany został w przewadze błękitu, jakby niebieski był kolorem ciszy, w której dzieje się teatr - dramatyczne napięcie między artystą a dziełem. To teatr aktu tworzenia, w którym widz musi podjąć wysiłek, by odczytując zamysł twórcy, współtworzyć dzieło. Dlatego - moim zdaniem - każdy element wnosi do przedstawionego świata nową, znaczącą interpretacyjnie wartość. Blejtram, paleta, zapięta pod szyję błękitna koszula, a w tle kotara, przesłaniająca okno na żywą zielen. W układzie planów i barw „Autoportret” wyraża credo malarza kolorysty. Akt tworzenia jest kreacją „autonomicznej malarzkiej rzeczywistości”. Natura w „Autoportrecie” - gdzieś na dalekim planie za oknem, przesłonięta ciężką kotarą - może być tylko punktem wyjścia, bodźcem artystycznego działania. To co istotne staje się w zmaganiu podmiotu z malarzką materią.

Elementy obrazu to znaki - skróty, którymi malarz opisuje akt tworzenia, będący sposobem dotarcia do „tajemnicy i prawdy istnienia, prawdy szukanej i wyrażonej po drugiej stronie naciągniętego krosna, już zagruntowanego płótna. Co jest po drugiej stronie płótna? Co jest, kto jest po drugiej stronie blejtramu? Co jest za świetlistą zasłoną rzeczywistości? Co składa się na istotę i prawdę naszego doświadczenia? - zdaje się pytać ten, kto patrzy na nas i w głąb siebie zarazem.” Ontologiczne pytania formułowane przez autora eseju pozostają do indywidualnego, powierzonego widzowi rozstrzygnięcia, zachęcając go do wejścia w pozamalarską materię „Autoportretu” Józefa Czapskiego.

Kazimierz Nowosielski z poetycką i naukową zarazem wnikliwością rozpoznaje współczesną kulturę, poszukując odpowiedzi na najważniejsze pytania. „(...) szukam malarstwa o walorach malarzskich nade wszystko, ale chodzi mi też o malarstwo, które byłoby kontemplacyjne i egzystencjalne jednocześnie” - czytam w notce o autorze.

**Czesława Długoszek, Objazda**

Kazimierz Nowosielski: „Galeria. O wybranych malarzach i malarstwie współczesnym”, Pelplin 2008. (cdl.)

**J**anusz Grabowski - szef Regionu PTTK w Słupsku zastrzega, że kalendarz imprez słupskich petetekowców kończy się dopiero w grudniu. Imprez mniej może częstszych i atrakcyjnych, ale jednak będą. Co proponuje w najbliższym okresie? Skrótowno: Wrzesień. 7: czterdzieste siódme z rzędu regaty żeglarskie (jachtami tzw. klasy wolnej) o Puchar Jeziora Gardno i „schemę” po Macieju Kopciu, J. Grabowskim - wielokrotnych zwycięzcach owych regat. Tego samego dnia: czyszczenie rzeki Słupi w obrębie miasta. 14: rajd rowerowy trasą Słupsk - okolice (Lasek Południowy, Krępa - 6 km dalej, etc.). 15: trwający jeden dzień spływ kajakowy rzeką Kamienicą w gminie Trzebielino. II dekada: „wielkie grzybobranie” w Korzybiu w gminie Kępice. 21: wędrówka śladem starych, liczących z reguły 2000 lat grodzisk pod Głównicami (Żoruchowo, Rumsko, Równo, Siodłonie). 29: zawody kajakowe na jeziorze Bobięńskim (z bazami... u brzegów wysp k. Miastka).

Październik. 5: tradycyjny (XLIV) rajd pieszy „w nieznanę” po zakątkach i zakolach Parku Krajobrazowego „Dolina Słupi”. 11, 13, 16: uroczyste zakończenie sezonu w klubach PTTK Nautilus (płetwonurków), Orion (żeglarzy) i Kapok (hobbistów kajakarstwa) w Bobięcinie, Gardnie Wielkiej i Łupawie. 12 - 14: kilkudniowy rajd (obóz wędrowny?) ph. „Gdzie ten liść dębu” szla-

# Turystyczne ostatki

*Pukająca do drzwi jesień zwiastuje pożegnanie z wakacyjnym dolce far niente (słodkim nicnieróbstwem, jak mawiają Włosi). Choć niezupełnie...*

kiem turystycznym Lębork - Siemirowice. 19: kolarska eskapada „U progu jesieni” od Słupska do wydmy orzechowskiej i z powrotem. 26: pierwszy jesienny tour samochodowy pn. „Wśród uroczysk ziemi słupskiej, nie tylko latem przepięknej”.

\*

Szczegóły, zapisy i ewentualne przedpłaty (jak tradycyjnie, zgoła symboliczne!) - w biurze Towarzystwa (ul. Szarych Szeregów 1, tel. 59 842 50 12 lub 59 842 29 02, e-mail: poczta@slupsk.pttk.pl). (el)



Fot. J. Maziejuk

# Przyszywana siostrzyca „Gustloff”

**P**odczas swej krótkiej służby w tym charakterze pełnił rolę flagowca sporej floty KdF. Wbrew obiegowym opiniom, nie był jednostką siostrzaną słynnego „Wilhelma Gustloff”, będąc raczej większym tonażowo rozwinięciem jego projektu. Statek pasażerski, nazwany imieniem Roberta Leya (Ministra Pracy Rzeszy, osoby żyjącej w chwili wodowania kadłuba!) był pomyślany, jako kolejny po „Wilhelmie Gustloffie” „czysty” niemiecki wycieczkowiec. Zbudowano go - jako nr stoczniowy 754 - w stoczni Howaldtswerke w Hamburgu na zlecenie Niemieckiego Frontu Pracy (DAF). Statek był własnością DAF, technicznie opiekowała się nim znana hamburska firma żeglugowa HAPAG. To ostatnie oznaczało m.in. obsadzanie statku załogą i oficerami. Kierownictwo prac przy wyposażeniu wnętrza elektromotorowca powierzono

architektowi Woldemarowi Brinkmannowi.

Statek został obliczony maksymalnie dla około tysiąca ośmiuset osób (pasażerów i członków załogi). Od starszego Gustloffa Ley był większy tonażem i krótszy, miał inny napęd, więcej pokładów i bardziej dopracowaną estetycznie sylwetkę. Warto wspomnieć, że jako jedyny statek „Kadeefu” trafił na karty znakomitej w swoim czasie „Architektury Okrętów” prof. W. J. Urbanowicza, jako przykład wczesnego wycieczkowca. Jego wodowanie odbyło się 29 marca 1938 roku w obecności Kanclerza Rzeszy. Matką chrzestną jednostki została osiemnastoletnia podówczas Lieschen Kiesel, robotnica z jednego z lipskich zakładów pracy. W nagrodę za wzorowe wypełnienie funkcji matki chrzestnej została później zaproszona do udziału w pierwszym rejsie „Wilhelma Gustloff” na Maderę.

Elektromotorowiec „Robert Ley” (ok. 27.300 BRT) był najnowszym i największym „pasażerem” hitlerowskiej organizacji pod nazwą „Kraft durch Freude” - przybudówki Niemieckiego Frontu Pracy, której zadaniem było zagospodarowanie czasu wolnego obywateli Trzeciej Rzeszy



## Pierwszy kapitan

Na mocy stosownej decyzji, podjętej w porozumieniu z Hamburg-Amerika-Linie, która zawiadywała drugim nowym statkiem budowanym dla KdF - pierwszym jego kapitanem statku mianowany został Carl Heinrich Falkenbach. Urodzony w 1881 roku w Koblenz (Nadrenia), dyplom pierwszego oficera zdobył w 1903, a kapitana w czerwcu 1905 roku. Podczas I wojny światowej zdobył Żelazne Krzyże drugiej i pierwszej klasy oraz Krzyż Hanzeatów. Do KdF przeszedł z m/s „Milwaukee” spod znaku NDL, którym dowodził w wielu rejsach. W 1935 roku dowodził małym parowcem „Oceana” w kilku rejsach pod znakiem KdF na wody norweskie i na Maderę. Uważany był za wspaniałego kapitana - władał m.in. angielskim, francuskim i szwedzkim.

Dwudziestego czwartego marca 1939 roku nowy statek przekazano oficjalnie do eksploatacji. Aż do wybuchu II wojny światowej na początku września 1939 roku EM/S „Robert Ley” służył jako wycieczkowiec „Kadeefu”, turystycznej „przysiadłki” Niemieckiego Frontu Pracy. Trzydziestego pierwszego marca 1939 roku we Wilhelmshaven wizytę na pokładzie złożył Kanclerz Rzeszy Adolf Hitler, w towarzystwie m.in. samego Patrona statku. W księdze pamiątkowej Kanclerz zapisał m.in.: „Podróż na pokładzie statku KdF „Robert Ley” pozostanie jednym z najmilszych wspomnień mojego życia”. Czwartego kwietnia 1939 roku „Robert Ley”, powracając z Wilhelmshaven z Hitlerem na pokładzie, zawinął do Hamburga. „Führer” spędził na „Leyu” trzy dni.

## Podróż dziewicza

W swój dziewiczy rejs na Teneryfę „Robert Ley” wypłynął z Hamburga pod dowództwem wspomnianego kapitana C. Falkenbacha 18 kwietnia 1939 roku. Rejs ten trwał trzy tygodnie. W dziewiczej podróży najnowszego „pasażera” uczestniczyło ok. 1500 urlopowiczów z całego kraju oraz setka dziennikarzy prasy i radia. Dwudziestego czwartego kwietnia 1939 roku „Robert Ley” zawinął do swego pierwsze-

go portu poza granicami Rzeszy; było to Funchal na Maderze. Dwudziestego szóstego kwietnia tegoż roku zawinął - jako pierwszy statek KdF - do Santa Cruz de Tenerife, osiągając najdalej na południe wysunięty punkt swojej trasy. Trzydziestego kwietnia 1939 roku wszedł do trzeciego portu - stolicy Portugalii - Lizbony. We wszystkich odwiedzanych portach nowy statek i jego 1600 pasażerów przyjmowano nadzwyczaj gościnnie. Siódmego maja 1939 roku EM/S „Robert Ley” powrócił do macierzystego Hamburga.

## Rejs po lotników „Condora”

Szesnastego maja 1939 roku kapitanowie Falkenbach z „Roberta Leya” i Bertram z „Wilhelma Gustloff’a” oraz kierownictwo czterech innych dużych statków KdF, otrzymali tajemniczy rozkaz wyokrętowania na czas do 31 maja całego personelu żeńskiego i części obsługi. Dwudziestego drugiego maja, w momencie przyjęcia na burty pilotów do Brunsbüttelkoog, dowiedziano się więcej - kapitanowie mogli otworzyć listy, dostarczone im przez pilotów w zalakowanych kopertach. Zawierały jednobrzmiący rozkaz: zawinąć do hiszpańskiego portu Vigo, przyjąć na pokłady ochotników z „Legionu Condor” i przywieźć ich z powrotem do Hamburga. Na redzie Vigo statki znalazły się 24 maja 1939 roku około ósmej wieczorem czasu lokalnego. Okrętowanie oddziałów rozpoczęło rankiem następnego dnia (25 maja 1939 r.). Dwudziestego szóstego maja zaokrętowano 1416 ochotników „Condora” na „Roberta Leya”. Tego samego dnia statki KdF opuściły redę Vigo, obierając kurs do domu. Ochotnicy osławionego Legionu wracali w nieledwie urlopowych nastrojach i atmosferze. Dwudziestego ósmego maja 1939 roku, w Zielone Świątki, flotylla statków KdF osiągnęła pozycję latarniowca Borkum. Tu czekały na nią liczne okręty, które następnego dnia (w poniedziałek 29 maja) wprowadziły powracające statki do Hamburga. Dwa największe statki zamienione nagle w zespół transportowców flotylli KdF - „Robert Ley” i „Wilhelm Gustloff” - zacumowały obok siebie przy Überseebrücke. Przy akompaniamencie marszów, granych przez orkiestrę wojskową, nastąpiło powitanie powracających lotników z krajem, po czym dowódca „Legionu Condor” złożył na nabrzeżu mel-

dunek dowódcy Luftwaffe, Hermannowi Göringowi o powrocie korpusu ekspedycyjnego z Hiszpanii.

## Służba wojenna i koniec statku

Dwudziestego piątego sierpnia 1939 roku, krótko przed wybuchem II wojny światowej, dawny wycieczkowiec „Robert Ley” został przejęty przez Kriegsmarine i przebudowany w Hamburgu na statek szpitalny dla 534 rannych, oznaczony, jako „Lz (II)” (lub „Lazaretschiff B”) z miejscem postoju w Gotenhafen (Gdyni). Już jednak 22 listopada 1939 roku, wobec niewielkiego zapotrzebowania na miejsca szpitalne dla rannych, statek wycofano ze służby szpitalnej i przystosowano do roli koszarowca dla 1. U-Boot-Lehrdivision - najpierw w Neustadt, a od lipca 1941 roku w Pillau (Piłławie). Od końca lipca 1944 roku statek zatrudniono jako transportowiec dla rannych na Bałtyku. Od września 1944 dawny wycieczkowiec powrócił do roli pływających koszar, tym razem dla II oddziału 1. U-Boot-Lehrdivision w Hamburgu-Finkenwerder. Po rozpoczęciu ofensywy zimowej Armii Czerwonej w styczniu 1945 roku przydzielono go do zespołu jednostek, mających ewakuować rannych żołnierzy i cywilów z Prus Wschodnich w ramach tzw. „Operacji Hannibal”. W przeciwieństwie do pechowego „Gustloff’a”, „Ley” zdołał bezpiecznie dowieźć transportowanych cywilów i rannych z walących się w gruzy wschodnich obszarów Wielkiej Rzeszy na Zachód.

Dziewiątego marca 1945 roku „Robert Ley” znajdował się w porcie hamburskim. Dwudziestego czwartego marca brytyjskie siły powietrzne przyspuściły atak z powietrza na miasto i port. Dawny wycieczkowiec otrzymał szereg trafień bombami i kompletnie się wypalił. Do 10 maja statek został prowizorycznie naprawiony i przyznany Związkowi Sowieckiemu, jako zdobycz wojenna. Wciąż pływający wrak byłego „pasażera” pozostawał w jednym z basenów portu aż do czerwca 1947 roku, następnie został odholowany do Wielkiej Brytanii. W Inverkeithing - siedzibie znanej firmy Ward - pocięto go na złom.

### Wojciech M. Wachniewski, Słupsk

PS. „Leya” to była maszyna ciekawsza od „Gustloff’a”, przynajmniej się tak kiepsko nie skończyła. Zasłynęła, o czym w ogóle mało kto już dziś pamięta, jako statek od „Gustloff’a” o wiele ładniejszy. Okazuje się jednak, że nasi dziennikarze zwykli nagminnie mylić oba statki. Kiedyś w „Kurierze Słupskim” pan T. Częściak zadysponował zdjęcie „Leya”, jako „Gustloff’a”, a w „Przeglądzie” był w ogóle skopany artykuł o „Gustloffie”, ilustrowany w najlepsze zdjęciami młodszej, większej i ładniejszej jego „siostry”. Herr Je. Przecież numer budowy 754 to numer „Leya”, a taki widnieje na zdjęciach. (WMW)

DISCO HIT FESTIVAL KOBYLNICA  
KOBYLNICA, LIPIEC 2013



